



Zeszyty TŁUMACKIE



II KWARTAŁ 1999

ISSN : 1426-4129

Nr 2 (14)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Parafialny Kościół Św. Anny w Tłumaczu wyburzony w 1970 r.

Spis treści

Od Redakcji	1
Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza... – wiersz – Juliusz Słowacki	1
Pomniki Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu	2
To o Was, Bezimienne... – wiersz – Marian Jonkajtis	2
Cnotliwa Zuzanna – Nasz stały korespondent z Manchesteru rodem z Tłumacza Edward Śniechowski	4
I Historia	
Tyśmienica – miasto na rubieżach Rzeczypospolitej (c.d.) – Tadeusz Pelikan	5
„Wiadomości o fabryce cukrowej w Tłumaczu” – Tadeusz Pelikan	7
II Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.) – ks. Lesław Jeżowski	9
Krótką historią jednej klasy gimnazjalnej w Tłumaczu (1918-1926) – Michał Nikosiewicz	12
Nasi profesorowie. Szkice – sylwetki – Michał Nikosiewicz	13
Matura w Państwowym Gimnazjum w Tłumaczu – Romuald Tuzinkiewicz	16
Przewodnik Automobilowy po Polsce – przedruk – wyjątki	17
III Tłumacz w latach wojennych 1939-1945	
Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)	18
IV W cieniu białych nocy i czarnych dni	
Wspomnienia spisane... (c.d.) – Janina Kochańska-Reich	19
V Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża	
Kościół parafialny św. Anny – ks. Lesław Jeżowski	25
VI Wiadomości z życia tłumaczan	
Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.). Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945-1995 – Janina Petrus-Duszyńska	27
Komunikat	29
List do Redakcji Stefanii Piotrowskiej	29
List do Redakcji Andrzeja Wiszniewskiego	29
Lista ofiarodawców	29
Errata do nr. 1 (13) 99	29

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

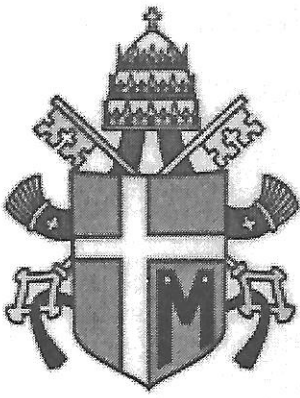
Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres Redakcji:

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/44-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno-językowych.

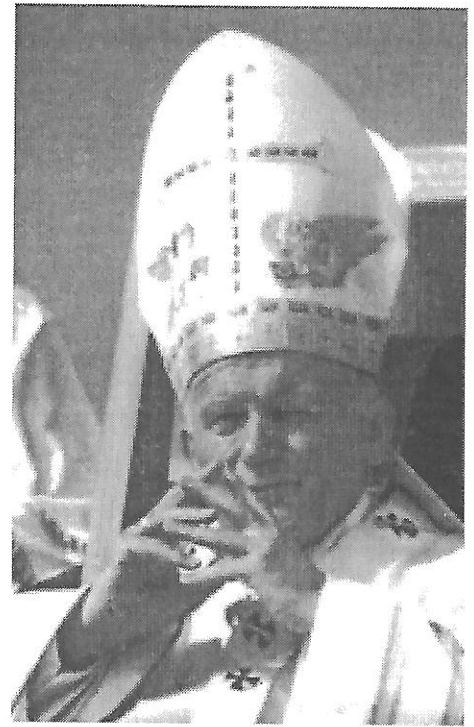


Od Redakcji

Ostatnia pielgrzymka Ojca Św. Jana Pawła II do Ojczyzny głęboko wzruszyła wszystkich.

Rozpamiętujemy Jego przesłania wypowiedziane w różnych miejscowościach, które tym razem odwiedził w Polsce.

Będąc pod wrażeniem tych wypowiedzi, wybraliśmy także znamienne i proroczą poezję naszego wieszczarodem z Kresów, aby przedstawić ją Szanownym Czytelnikom. Równocześnie pragniemy uczcić rok Juliusza Słowackiego w 150 rocznicę Jego śmierci.



Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza...

Juliusz Słowacki

Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon.
Dla Słowiańskiego oto Papieża
Otwarty tron.

Ten przed mieczami tak nie uciecze
Jako ten Włoch.
On śmiało jak Bóg pójdzie na miecze;
Świat mu – to proch.

Twarz jego, słońcem rozpromieniona,
Lampą dla sług.
Za nim rosnące pójdą plemiona
W światło – gdzie Bóg.
Na jego pacierz i rozkazanie
Nie tylko lud –
Jeśli rozkaże – to słońce stanie,
Bo moc – to cud.

On już się zbliża – rozdawca nowy
Globowych sił.
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości Bożej
Strumienny ruch.
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc – to duch.

A trzebaż mocy, byśmy ten Pański
Dźwignęli świat...
Więc oto idzie – Papież Słowiański,
Ludowy brat...

Oto już leje balsamy świata
Do naszych łon.
Hufiec aniołów – kwiatem umiata,
Dla niego tron.

On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń.
Sakramentalną moc on pokaże,
Świat wzięwszy w dłoń.

*

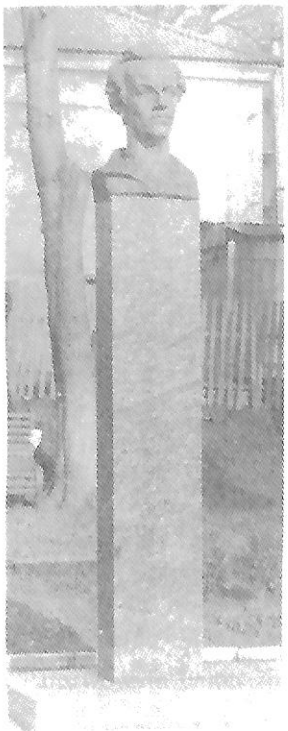
Gołęb mu słowa – słowem wyleci,
Poniesie wieść,
Nowinę słodką, że Duch już świeci
I ma swą cześć;
Niebo się nad nim – piękne otworzy
Z obojgu stron.
Bo on na tronie stanął i tworzy
I świat – i tron.

On przez narody uczyni bratnie,
Wydawszy głos.
Że duchy pójdą w cele ostatnie
Przez ofiar stos.
Moc mu pomoże sakramentalna
Narodów stu.
Że praca duchów – będzie widzialna
Przed trumną tu.

*

Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,
Robactwo – gad.
Zdrowie przyniesie – rozpali miłość
I zbawi świat.
Wnętrza kościołów on powymiała,
Oczyści sień.
Boga pokaże w twórczości świata,
Jasno jak dzień.

Pomniki Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu



Popiersie Juliusza
przed dworkiem
Słowackich



Płaskorzeźba w Kościele



Pomnik
matki poety Salomei

W 59 rocznicę (13 kwiecień 1940 rok) drugiej, najliczniejszej deportacji Polaków ze wschodnich terenów Polski na Syberię, przedstawiamy wiersz autora, który jako dziecko był tam zesłany z matką i sześciorgiem rodzeństwa. Po sześciu latach tułaczki na nieludzkiej ziemi, dzięki matce, wszyscy szczęśliwie powrócili do Polski.

Redakcja

To o Was, Bezimienne...

Marian Jonkajtis

1.

To dla Was
Bezimienne,
Polskie Matki!
to o Was
Sybirackich wspominek notatki
W niezdarnych ułożone słowach.

O Was
Kruczych i Słabych
A tak mocnych przecież,
Gdy chodziło o Polskę,
Rodzinę i dzieci!
Gdy chodziło o Boga
– w rubryce „wyznania” –
Nie było w Was słabości
Ni chwil załamania.

2.

Luty, kwiecień i czerwiec
40-ty rok
Soldaci!!!
W willi,
Czy w kamienicy,
W dworku,

Czy w wiejskiej chacie:

Ty,
Polska Matko,
Stawałaś
Sama
Przeciwko przemocy!
Nas, dzieci
Uciszałaś
Wyrwane ze snu
W nocy!

Choć cały Twój świat się walił
W tej jednej nocnej godzinie –
Ty, jak pisklęta pod skrzydła,
Brałaś w opiekę rodzinę!
By ją ochraniać...
Ocalić...

Osłabić brutalność ciosu!
I nigdy się nie zgodziłaś
Z okrutnym wyrokiem losu!

3.

Polska Matka
Z pięciorgiem.
Żona osadnika.

Drobna, potulna, cicha...
W sobie się zamyka.
O nic nikogo nie prosi...
Oczy – bezradnej łani...
Zawsze była „przy mężu”,
On decydował za nią.

Już drugi tydzień w „bydlęcym”...
Na górnej pryczy,
Przy oknie.
Głód.
Nie ma czym palić
W piecu
A mróz 30 stopni!
Czwórka
Jakoś się trzyma.
Magda, Bronek, Marcysia...
Nawet najmłodszy Kazio.
I tylko Jacek
Coś... Dzisiaj...

Jacuś!
już nie oddycha!
Cały zimny...
O Boże!!!

„Nu, co wy, Pani!...
Zamarzł...
Tak jechać dalej nie może.

Wagon dla żywych tylko...
On, znaczy się,
Do śniegu.

Tam jemu lepiej będzie...
I wyrzucili w biegu!

4.

Zmienił się wzrok
Polskiej Matki...
Oj, uważajcie żołdaci!
Za suche łzy naszych kobiet
Przyjdzie wam kiedyś zapłacić!

5.

Dalej kolej nie idzie!
Już tylko śnieg i tajga...
Teraz konie – kucyki
Na saneczki
I hajda!

Polskie Matki
I dzieci,
Starcy
I chore osoby...
Mróz
40 i niżej...
I hajda!
W drogę!
– Dwie doby!!

„Nu, wot i dojechali.
Burzuje Polacy!
Tu wam żyć i umierać!
Wot...
A teraz, do pracy!
Na powrót,
Na ucieczkę –
Porzucicie wszelką nadzieję!
U nas,
Kto nie pracuje –
Ten, znaczy się,
I nie je!...”

A w koło las dziewiczy...
Sosny!
Nie widać czubka...
Baraki...
Psy na smyczy...
I praca:
– „leso – rubka!”

6.

Nie ma takiego trudu,
Takiej pracy na świecie,
Której byś – Polska Matko –
Nie tknęła
Dla dobra dzieci!

W Sybirze,
Na zesłaniu
Umiałaś robić wszystko:
Byłaś murarzem, cieślą,
Szewcem i traktorzystą...
Zdunem, hydraulikiem,
Rozwozicielem kwasu,

Budowniczym kolei,
Wyrebywaczem lasu...

Wszystkie męskie zawody
Były Twoim udziałem.
W tajdze, w Kazachskich stepach,
W kopalniach za Bajkałem.

Złodziejem także byłaś,
Gdy szepcząc – przebaczyć Boże –
Dla nas, swych głodnych dzieci,
Na toku kradłaś zboże!

7.

Cynga, sybirka, tyfus,
Zbierały – tak to bywa –
Wśród wycieńczonych głodem
Obfite śmierci żniwa...

Ty, w czasie epidemii,
By życie nam ratować,
Dziesiątki kilometrów
Umiałaś przewędrować!

W śnieg,
W głuszę, bezdrożami,
Którymi nikt nie jedzie...
Do szpitala!
Choć wilki,
Choć na drodze niedźwiedzie!
I brnęłaś, Polska Matko,
Przez lód, powódź, zawieję...
Przynosiłaś lekarstwo,
Albo tylko nadzieję...
I chowałaś swych bliskich
Z bezgłośnym serca krzykiem.
W bezimiennej mogile,
Pod brzoźowym krzyżykiem...

8.

Twoje zmęczone ręce
W królestwie wszy i pluskiew,
W odwiecznym carstwie brudu
Starały się nas ustrzec
Przed jednym, łatwym kroczkiem
W kierunku rezygnacji
Z podstaw kultury życia:
Ustrzec od abnegacji!

Twoje ręce krwawiące
Od wrzodów, ługu, mrozu!
Od cegieł z gliny – „samanu”,
„Kiziaku” – cegieł z nawozu!
Twoje matczyne ręce
Pełne ran i czułości –
Uczyły nas higieny!
Uczyły nas czystości!

9.

Choć głód uwagę skupiał
Wyłącznie na jedzeniu –
Resztkami sił myślałaś
O naszym wykształceniu...

W nikłym świetle kopciłki,
Gdy mróz za oknem tężał,

Uczyłaś nas polskiego,
Historii i pacierza...

Uczyłaś dziwnych pojęć:
Jak prawość i ofiarność,
Godność ludzka,
Uczciwość,
Wierność,
Odpowiedzialność...

Uczyłaś, Polska Matko,
(Sama osłabła z głodu)
Być silnym wiarą w Boga!
Miłością do Narodu!

A w Wieczór Wigilijny,
Przy pierwszej gwiazdce z nieba
Uczyłaś znakiem krzyża –
Dzielić kawałek chleba...
Dzieląc go, ufać Bogu
I wierzyć, że przetrwamy!
Wierzyć,
Że Wolnej Polski
Na pewno doczekamy!

Uczyłaś polskich kolęd.
Piosenek o wolności...
Po polsku myśleć... marzyć...
I polskiej tożsamości!

10.

„Polskije Matieri”
(Z archiwum NKWD dwa zdania:)
„To tajna broń Pańskiej Polszy.
Nie do zlikwidowania!...”

11.

To dla Was
Polskie Matki,
Nasze Matki!
To o Was!
Sybirackich wspominek notatki
W niezdarnych zapisane słowach...
To o Was,
Bezimienne...
O cichych i powszednich
Bohaterkach
Na miarę
Antycznej tragedii!

12.

Choć smutek serce ścisła
I żał, że Wasze drogi
W większości przekroczyły
Już ziemskich doznań progi –
To, jednak mocno wierzę,
Że również te wspomnienia
Przedłużą pamięć o Was...

Że przyszłe pokolenia
(może wnukowie nasi)
Pra-źródła Waszej siły
Szukać będą!...
– i kwiatem
Ozdabiać mogiły!...

Cnotliwa Zuzanna

Edward Śniechowski – nasz stały korespondent z Manchesteru rodem z Thumacza

*Zuzanna i starcy
Dwaj starcy ujrzeli
Zuzannę w kąpielu,
Chcieli postraszyć
Ale czym nie mieli.*

(Jan Sztudynger „Piórka”)

W Babilonie mieszkał pewien mąż imieniem Joakim. Wziął on żonę imieniem Zuzanna. Była ona bardzo piękna i bogobojna. Joakim zaś był bardzo bogaty i posiadał piękny ogród przyległy do domu. Przychodziło do niego wielu Żydów. W tym roku wybrano spośród ludu dwóch starszych na sędziów. Ludzie ci bywali często w domu Joakima. Gdy zaś koło południa odchodzili ludzie, Zuzanna udawała się na przechadzkę po ogrodzie. Obaj starcy widywali ją codziennie i zaczęli jej pożądać. Obaj ukrywali przed sobą tę udrękę. Wstydziła się bowiem przyznać do swego pożądanego. Pewnego razu powiedział jeden do drugiego: „Wracajmy do domu, bo już pora obiadować!” Obaj jednak zawrócili z drogi i spotkali się na tym samym miejscu. Przyznali się do swej żądzy i omówili wspólnie porę, kiedy będą mogli Zuzannę spotkać samą. Pewnego dnia wyszła Zuzanna w towarzystwie dwóch dziewcząt, chcąc się wykąpać w ogrodzie; był bowiem upał. Nie było tam nikogo z wyjątkiem dwóch starców w ukryciu. Gdy tylko dziewczęta odeszły, obaj starcy podbiegli do niej mówiąc: „Nikt nas nie widzi, my zaś pożądamy ciebie. Zgódź się obcować z nami, w przeciwnym razie zaświadczymy przeciw tobie, że był z tobą młodzieniec”. Westchnęła Zuzanna: „Jeżeli to uczynię, zasługuję na śmierć; jeżeli zaś nie uczynię, nie ujdę z waszych rąk. Wolę jednak niewinnie wpaść w wasze ręce, niż zgrzeszyć wobec Pana”. Następnego dnia, gdy zebrał się lud u jej męża Joakima, przybyli dwaj starcy, pełni niegodziwych zamiarów, by ją wydać na śmierć. Zawołano Zuzannę, która przyszła ze swymi rodzicami i dziećmi. Kiedy starcy oskarżyli Zuzannę, zgromadzenie dało im wiarę, a sędziowie skazali ją na karę śmierci. Gdy ją prowadzono na stracenie, młodzieniec imieniem Daniel, wzbudzony Świętym Duchem, zawołał: „Czy tak bardzo jesteście nierozumni, synowie Izraela, że skazujecie córkę izraelską bez dochodzenia i pewności? Wróćcie do sądu!” Daniel zdecydował się przesłuchać starców oddzielnie, pytając pod jakim drzewem widzieli Zuzannę z młodzieńcem. Kiedy ich wypowiedzi różniły się, kłamstwo wyszło na jaw. Starców ukarano, a Zuzanna została uniewinniona.

(Księga Daniela (13),
Opowiadania o Zuzannie)

Ta historia ze Starego Testamentu stała się popularnym tematem dla wielu malarzy, a najbardziej moment, kiedy dwóch starców podpatruje z ukrycia Zuzannę kąpiącą się w basenie w pięknym ogrodzie. Tacy mistrzowie jak Tycjan, Veronese, Carracci, Guido Reni i wielu, wielu innych, uwiecznili na swych płótnach tę ciekawą biblijną opowieść.

Przenieśmy się teraz z czasów biblijnych do współczesnych. W jednym z antykwariatów w Edynburgu, kupiłem w latach siedemdziesiątych obraz malowany na płycie miedzianej, przedstawiający Zuzannę w kąpielu. Oczywiście, ani właściciel sklepu, ani ja nie mieliśmy pojęcia kto był jego autorem. Kupiłem go, bo mi się spodobał, a anty-



Giuseppe Cesari, *Il Cavaliere d'Arpino*
„Zuzanna w kąpielu” – w kolekcji autora

kwariusz sprzedał tanio, bo widocznie potrzebował pieniędzy.

Przez jakieś dwa lata „Zuzanna” wisiła w salonie, czarując i wabiąc urokiem swego pięknego ciała, a ja starałem się usilnie odgadnąć tajemnicę kto i kiedy malował ten obraz. Nie jestem historykiem sztuki, raczej amatorem-kolekcjonerem, tak, że nie było to łatwe. W końcu zdecydowałem się szukać odpowiedzi u kogoś mądrzejszego ode mnie.

Pojechałem z Zuzanną na kilka dni do Londynu (kto by zresztą nie chciał spędzić parę dni w tak miłym towarzystwie?). Ponieważ miałem do zbadania kilka starych druków, pierwsze kroki skierowałem do British Museum. Przyjął mnie p. Nicholas Turner (kustosz Departamentu Druków i Rysunków). Po załatwieniu się z rysunkami, chciałem pokazać mu jeszcze „Zuzannę”. „Przepraszam – odpowiedział – to nie tutaj, to National Gallery”. Kiedy jednak wkładając rysunki do teczek odsłoniłem przypadkowo obraz, poczułem, że p. Turner wstrzymał moją rękę i zawołał: „A skąd Pan to ma, ja wiem co to jest. To przecież Giuseppe Cesari”. Za chwilę koło obrazu zgromadziła się grupka specjalistów. Patrzono raz na „Zuzannę”, a raz na mnie. Coś niedobrze! Może to kradziony obraz? Cholera, z babami zawsze kłopot, pomyślałem o mojej biblijnej bohaterce.

Na szczęście nie było tak źle. Obraz, owszem, zaginął. Nic nie słyszano o nim przez przeszło sto lat. Leżał sobie spokojnie nie spostrzeżony w jakimś dworku czy też pałacyku szkockim, aż w końcu znalazł się w sklepie antycznym. I tak zaczęła się moja przygoda z „Zuzanną”. Wróciłem z nią do domu, a za kilka dni już miałem list z British Museum:

Szanowny Panie Śniechowski,

Myszę o Pańskim obrazie „Zuzanna i Starcy” autorstwa Giuseppe Cesariego, Il Cavaliere d'Arpino, który pokazał

mi Pan w piątek, 3 października. Uważam, że jest to bardzo ciekawy i ważny obraz (prawdopodobnie ten, który formalnie znajdował się w kolekcji Księcia Orleanu). Dlatego byłbym bardzo wdzięczny gdyby poparł Pan moje starania o opublikowanie tego obrazu w „Burlington Magazine”, który jest żurnalem historii sztuki o wysokiej renomie. Pozwoliłoby to ujawnić ten obraz, który był dotąd uważany za zaginiony, szerokim kręgom erudyków zainteresowanych pracami tego artysty.

Z poważaniem,
Nicholas Turner
Kustosz

Artukuł pt. „A newly discovered painting by the Cavaliere d’Arpino” ukazał się w „Burlington Magazine” w październiku 1977 r., z „Zuzanną” na frontowej okładce.

GIUSEPPE CESARI, IL CAVALIERE d’ARPINO (1586-1640) urodził się w Arpino, a zmarł w Rzymie.

W latach 1589 do 1591 przebywał w Neapolu, następnie został powołany do Rzymu, gdzie wraz z innymi artystami pracował w Watykanie, zatrudniony przez kilku Papieży jak Sixtus V, Clement VIII i Urban VIII. W latach 1603-12 był związany z budową kopuły w Bazylice Św. Piotra, gdzie zaprojektował mozaiki zdobiące wnętrze kopuły.

W Anglii jest tylko kilka jego obrazów, a w pałacu Wilton House (koło Salisbury) w jednym z pokoi malowidła na suficie są jego dziełem. Bardzo podobną wersję „Zuzanny” można oglądać w muzeum Soprintendeza alle Gallerie, Siena.

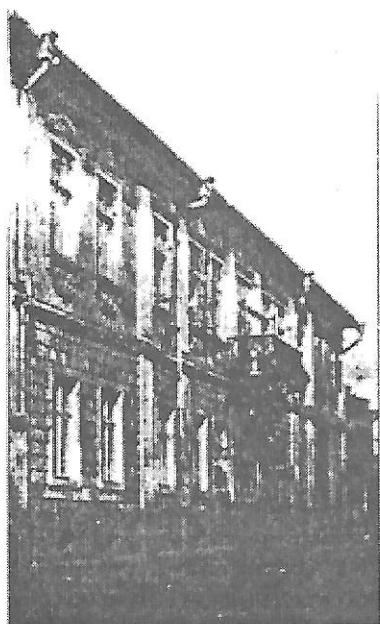
Ostatnio nasza „bohaterka z Babilonu” zmieniła miejsce zamieszkania i przeniosła się do banku. Wiem, że jej tam jest dobrze i bezpiecznie. Menedżera banku znam osobiście. Porządny człowiek, krzywdy jej nie zrobi. A Zuzannie przyrzekliśmy, że jak będzie grzeczna, dostanie obywatelstwo polskie i będzie w przyszłości ozdabiać ściany Muzeum Narodowego w Warszawie. □

Historia

Tyśmienica – miasto na rubieżach Rzeczypospolitej (c.d.)

Tadeusz Pelikan

„U schyłku roku 1676 miasto w najstraszliwszy sposób nawiedzone zostało. Już drugiego października rozchodziły się przerażające wieści o ciągnącej armii tureckiej z tatarską połączoną. W ten dzień przysłano w konwoju kilkaset ludzi różnych. Między nimi i Kozaków ze Stanisławowa dla wywiezienia ważniejszych ruchomości oraz wyprowadzenia ludzi do fortecy stanisławowskiej. Ale wysłani Kozacy przed nieprzyjacielem miasto zniszczyli, kościół i klasztor obrabowali, biorąc wszystko. Nazajutrz wpadli Turcy, Tatarowie z janczarami, orda piekielna, nienasycona. Miasto, kościół, cerkwie, klasztor, zamek, domy szlacheckie spalili i ludzi co jeszcze zostali wycięli, wygubili lub do niewoli wzięli. W Tyśmienicy były ogromne pustki, wśród zgłiszczów starczał tylko zamek zburzony, który już nigdy nie powrócił do dawnego stanu.” (Baliński M.).



„Dom Pański”

Wiosną 1686 roku we wszystkich ważniejszych miejscowościach w okolicy Stanisławowa zbierają się chorągwie na wyprawę wołoską, prowadzoną przez Sobieskiego. Główny obóz mieścił się koło Tłumacza. W lipcu tego roku przybył wreszcie sam król Sobieski, a z nim „ukochana Marysienka, która aż do Tyśmienicy towarzyszyła mężowi.” (Czołowski A.). Dom, w którym mieszkał wówczas król Sobieski później nazwany został „Domem Pańskim”.

W 1689 roku Konstancja Potocka nadaje bardzo szerokie przywileje Ormianom, których dziesięć lat wcześniej sprowadził z Kamieńca Podolskiego Dominik Potocki, „aby jakieś znaczenie nadać miastu”. Ormianie handlowali, głównie bydlęm, a także różnymi towarami, jak tkaniny, ozdoby, wino, leki, sprowadzanymi z pobliskiej Mołdawii. Rozwijali też rzemiosło, zwłaszcza wyrób skór i safianów. Ich działaniom, niezwykle sprzyjającym rozwojowi miasta, przewodniczył ks. Warteresiewicz. W późniejszych latach miasto przechodzi do Wielhorskich, następnie Czosnowskich, a około 1738 r. znowu powraca do Potockich (Baliński M.).

Kłęski go nie omijały. Książę Barącz, były przeor klasztoru dominikańskiego w Tyśmienicy, w spisanej przez siebie kronice podaje: „W 1738 roku wojska rosyjskie idąc na Turcję przeszły przez terytorium neutralnej Rzeczypospolitej. Od armii rosyjskiej oderwał się duży oddział Kozaków wpadając między innymi do Tyśmienicy, gdzie zrabowali kościół. Rok później wpadli do miasta Moskale, zrabowali miasto, unosząc wszystko bezkarnie... Dnia 7 lipca 1764 r. ogień wszystko pożerający całe miasto strawił, że ledwie kilka domów ocalało... Sześć lat później wybuchło powietrze (epidemia cholery). Z miasta powynosili się ludzie na pole, ale i tam dosięgła ich kłęska. Epidemia trwała do końca stycznia 1771 r. Polaków, Rusinów i Żydów pochowano 1332 ludzi.”

W ciągu dalszych dziesiątków lat, kiedy Tyśmienica znajdowała się już w zaborze austriackim, doznawała ona licznych kłesk żywiołowych, które na przemian nawiedzały

miasto. Jak podaje ks. Barącz w roku 1831 miasto nawiedziła epidemia cholery. „Okropny to był widok, kiedy za księdzem po 6 i 7 trupów naraz wieziono przez kilka dni, po 20 chrześcijan, Żydów nawet po 40 chowano. Domy w mieście pozamykano (...), posepność trwożliwa okryła całe miasto.”

Tyśmienica, jak niemal wszystkie osady w dawnych czasach, miała swoje pożary. Dwa ostatnie, jakie wyrządziły wielkie straty, miały miejsce w 1883 r., kiedy spłonął prawie cały środek miasta, oraz w 1898 r., kiedy spłonęło około 100 domów. Wobec takich zagrożeń, jak się okazuje, bezsilna jeszcze była Ochotnicza Straż Pożarna, którą w roku 1874 zorganizowali Piotr Małaniuk i Jan Świrzewski (Szczerbowski A., Krajowy Zw. Ochotn. Straży Pożarnych w Galicji i Lodomerii, Lwów, 1900 r.).

Mimo rozlicznych klęsk, które trapiły miasto, podnosiło się ono z upadku i powracało do odpowiedniego stanu gospodarczego. Sprzyjał temu fakt, że do Tyśmienicy prowadził ważny szlak handlowy z Halicza. Tu rozgałęział się on na trzy szlaki: jeden prowadził na wschód przez Monasterzyska, Buczacz, Kamieniec Podolski i dalej; drugi szlak prowadził na południe w kierunku Markowiec, gdzie rozgałębiał się na dwa szlaki: jeden do Mołdawii przez Otynię, Kołomyję, Czerniowce, a drugi w dolinę Prutu, przez Karpaty aż do Węgier. Zjeżdżało więc do Tyśmienicy wielu kupców z różnych stron z różnymi towarami. Odbływały się tu wielkie targi i jarmarki. Podczas zaboru przywilej taki nadał miastu cesarz Franciszek I. Za wjazd do miasta przybysze obowiązani byli składać opłaty na rogatkach miasta, również za pobyt w zajazdach. Miasto uzyskiwało więc poważny dochód.

W wieku XVIII istniał tu szereg warsztatów przemysłowych, jak garbarnie, gorzelnia, wytwórnia grzebieni, wyrobów ceramicznych i inne. Była też modelarnia dzwonów i odlewnia małych dzwonów, usytuowana w lesie na południe od miasta (las Litwińca). Większe modele wywożono do Pacykowa w pobliżu Stanisławowa i tam na ich podstawie odlewano dzwony.

W 1857 roku zatrzymał się w Tyśmienicy poeta Wincenty Pol. Zamieszkał w mieszkaniu wynajętym u Ormianki Wartanowej. Zamierzał osiąść na stałe, cicho tu było, daleko od gwaru, zamętu i nerwowego życia wielkich miast. Tu zaczął pisać poemat „Pieśń o domu naszym”. Na pewien czas wyjechał, ale już we wrześniu 1858 r. znowu tu zamieszkał i tu spędził zimę. W 1859 r. wraz z dziećmi ulokował się w zamku udostępnionym mu przez hr. Miączyńskich. W jesieni 1859 r. opuścił Tyśmienicę.

Tyśmienica była przez pewien czas, mniej więcej do roku 1860, miastem powiatowym, gdzie miało swoją siedzibę starostwo i inne władze austriackie. Wtedy Stanisławów był mało znanym miastem, a przy adresowaniu pism używano określenia „Stanisławów obok Tyśmienicy”. Takie znaczące miejsce zajmowała Tyśmienica do czasu zbudowania linii kolejowej ze Lwowa do Czerniowiec w 1850 roku. Nastąpił wówczas znaczny rozwój sąsiedniego Stanisławowa, gdyż stąd prowadziły teraz szlaki w pięciu kierunkach. Tyśmienica wyraźnie upadła. Nadarzała się wprawdzie możliwość podniesienia miasta i rozbudowy, ale nie została ona wykorzystana (Chiroski D., Dzieje miasta Tyśmienicy, Lwów 1938 r.). Oto 1 listopada 1884 r. została oddana do użytku linia kolejowa Stanisławów-Husiatyn, która przebiegała przez Tyśmienicę. I kiedy kilka lat później władze austriackie zamierzały wybudować warsztaty kolejowe na pa-

stwie obok stacji i założyć dyrekcję kolejową, ówczesna miejska rada, z obawy utraty pastwiska, sprzeciwiła się temu projektowi. W kilkanaście lat później prowadzono pertraktacje o kupno tego pastwiska na budowę cukrowni, czemu rada również się sprzeciwiła, kierując się tymi samymi pobudkami.

Wybuch wojny światowej w 1914 roku pogłębił upadek miasta. Tędy przechodziły oddziały różnych rodzajów broni. Władze austriackie dokonywały rewizji i aresztowań zwłaszcza wśród inteligencji ukraińskiej, którą podejrzewano o moskalofilizm. Dziesięciu z nich zostało osadzonych w obozie. 3 września miasto zajęły wojska rosyjskie. Kozacy przystąpili do rozbijania sklepów, wyrzucania towarów na ulice, rabunków. Dotknęło to szczególnie ludność żydowską. Tego samego dnia Kozacy spalili gorzelnię.

20 lutego do miasta wkroczyły wojska austriackie. Następnego dnia odezwały się strzały artylerii rosyjskiej, która zajmując wzgórze olszanickie, zasypywała miasto ogniem pocisków. Bateria artylerii austriackiej ostrzeliwała wzgórze. W walkach brały udział oddziały wojsk legionowych. W południe 2 marca wojska austriackie wycofały się do Kołomyi, a wieczorem ponownie weszły wojska rosyjskie. I tym razem nienawiść została skierowana przeciwko ludności żydowskiej. Wypędzano ich masowo na pastwisko jak bydło, gdzie zmuszano ich do skubania trawy. Urządzali im przymusowe marsze, a w tym czasie Kozacy rabowali im sklepy i mieszkania. 27 kwietnia około 300 osób spośród ludności żydowskiej wywieziono do Złoczowa, Zborowa, Sasowa i Jeziernej (Chirowski D.).



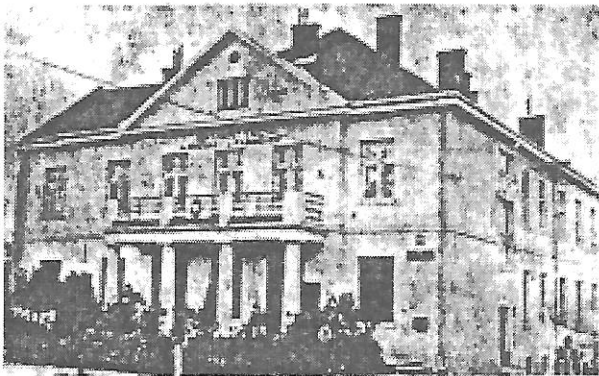
Część rynku

12 czerwca miasto ponownie zajęli Austriacy. Po roku Rosjanie wypierają Austriaków. W tym czasie znaczna liczba mieszkańców opuściła miasto. Część z nich ukryła się pod górą w kotlinie Panowica. Rosjanie, sądząc że to oddziały austriackie skierowały w to miejsce ogień artylerii. Dwadzieścia osób zostało zabitych i wiele rannych. Nacierające od strony Niżniowa i Otyni wojska rosyjskie zasypywały miasto do późnej nocy ogniem karabinów maszynowych i artylerii. Kozacy z taką wściekłością wpadali na tyły wojsk austriackich, że zabijali nawet poddających się żołnierzy.

W sierpniu 1917 r. po zaciętych walkach Austriacy ponownie zajęli miasto, które świeciło pustkami. Bilans walk był tragiczny. Na terenie miasta zginęło 220 żołnierzy austriackich i 200 rosyjskich. Ludność stopniowo zaczęła powracać do domów, zastając część swojego dorobku w ruinie.

Po ogłoszeniu we Lwowie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej w listopadzie 1918 roku w mieście pojawiły się wojska galicyjskie, składające się przeważnie z Ukraińców. Rozpoczęły się rewizje i aresztowania Polaków. Nadszedł okres wojny polsko-ukraińskiej, która, jak się później okazało, kosztowała życie 10 tysięcy Polaków i 15 tysięcy Ukraińców (Kozłowski M., Między Sanem a Zbruczem, Kraków, 1990 r.). Na terenie powiatu tłumackiego, do którego należała Tyśmienica do niewoli dostało się siedmiu członków POW, między innymi dwaj z Tyśmienicy: Józef Kozicki i Izak Piotrowicz, którzy zostali zabici w Niżnowie. Po zwycięskiej ofensywie wojsk polskich i opanowaniu Stanisławowa (25 maja 1919 r.), również Tyśmienica została 28 maja odzyskana dla Polski.

Miasto powoli dźwigało się i zagospodarowywało. Rozwijały działalność liczne warsztaty rzemieślnicze, głównie kuśnierskie. Przemysł kuśnierski był jedynym, który podtrzymywał charakter miasta, dając zatrudnienie znacznej liczbie mieszkańców. Zasadnicze znaczenie dla miasta miało istnienie dwóch fabryk futrzarskich. Zajmowały się one uszlachetnianiem i farbowaniem skór baranich oraz produkcją kozuchów. Przemysł ten znacznie rozwinięty i unowocześniony istnieje po dzień dzisiejszy. Czynne też były trzy młyny, olejarnia, mleczarnia.

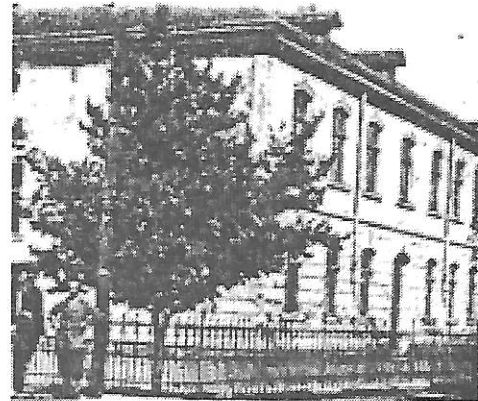


Dom Ludowy

Tyśmienica leżała na terenie województwa stanisławowskiego posiadającego największy procent ludności ukraińskiej,

której masy zamieszkujące głównie wsie były przeplatane ludnością polską i żydowską, zamieszkującą głównie miasta. Tu też wyznaczenie było odzwierciedleniem narodowości: obok znanego stereotypu Polak-katolik, Niemiec-ewangelik, na tamtych terenach obowiązywał inny: Ukraińiec-grekokatolik. Dość liczne były tutaj małżeństwa mieszane. Może to być, obok działających w okresie międzywojennym ukraińskich organizacji społeczno-kulturalnych, jednym z przykładów na to, że współzycie tej różnorodnej społeczności układało się poprawnie. Dopiero rozbujający szowinizm nacjonalistów ukraińskich doprowadził w końcu do wielkiej tragedii.

W roku 1931 Tyśmienica liczyła 7257 mieszkańców, z czego 4726 Ukraińców, 1346 Polaków, 1185 Żydów. W



Szkoła męska

1938 r. liczba mieszkańców wzrosła do 7830. Życie społeczno-kulturalne skupiało się w Domu Ludowym, nazywanym powszechnie Domem „Sokoła”. Był to największy w powiecie Dom Ludowy, znajdowała się w nim sala widowiskowa, świetlice i inne pomieszczenia. Przed wojną mieściła się tam również poczta. Dla Ukraińców podobną rolę spełniał Narodnyj Dim. Prócz tego mieli oni czytelnice prowadzące swoją działalność pod patronatem „Proswity”. W mieście funkcjonowały dwie szkoły siedmioklasowe (męska i żeńska) oraz czteroklasowa na przedmieściu.

(c.d.n.)

„Wiadomości o fabryce cukrowej w Tłumaczu”

Tadeusz Pelikan

Pod takim tytułem w roku 1844 ukazała się we Lwowie mała, zaledwie 20-stronicowa broszurka Antoniego Mysłowskiego, który na wstępie pisał:

„W naszym kraju pomimo urodzajności gleby, mnóstwa ziemiopłodów – posiadamy dotąd bardzo mało fabryk. A ile te, które mamy, hojnie rozsiewają w koło siebie liczne dobrodziejstwa, dowodzi najlepiej fabryka cukru w Tłumaczu, należąca do Henryka hrabi Dzieduszyckiego.”

W 1835 roku decydując się na zbudowanie cukrowni hr. Dzieduszycki wykorzystał budynki istniejącej gorzelnii. Ale już w 1840 r. w wyniku pożaru została ona zniszczona. Rok później odbudowano fabrykę wprowadzając jednocześnie metodę sławnego wówczas Schutzenbacha, polegającą na produkcji cukru z suszonych buraków.

Dzieduszycki zawarł kontrakty na dostawy buraków cukrowych na 20 lat. W promieniu 13 mil od Tłumacza już w

1843 r. powstało 13 suszarń. W roku 1844 przerobiono 300 tys. centarów buraków, z tej ilości otrzymano 3 tys. centarów cukru. W tym czasie w cukrowni zatrudnionych było 400 pracowników.

Cukrownia wywierała korzystny wpływ na rozwój gospodarczy regionu. Nic więc dziwnego, że zbudowany tymi osiągnięciami autor wspomnianej broszury pisał:

„Fabryka tłumacka cukru, na taką wielką skalę rozpoczęta i prowadzona, że równej sobie nigdzie nie ma, tak poważny wpływ na bogactwo narodowe wywiera, że ani na chwilę wątpić nie można, iż dla pomnożenia swego dobroczynnego wpływu przyjmie układy przez każdego z producentów osobno jej podane, a to tem pewniej jeżeli te obiorą za główny cel: przyczynienie się do jej wzrostu i trwałego na przyszłe lata tak ściśle z dobrem kraju połączonego istnienia.” I jeszcze: „Postępowanie dążące do rozszerzenia i



Widok Pawilonu Tłumackiego na Wystawie Krajowej we Lwowie

podniesienia przemysłu krajowego dowodem jest miłość ojczystego kraju. Powinnością jest zatem, aby wszyscy co sprzyjają krajowym fabrykom i nie lgną namiętnie do wszystkiego co jest cudze tylko krajowego cukru używali. Gdybyśmy kupowali cukier krajowy na nasze potrzeby, przynajmniej choć za ten artykuł nie wychodziłyby pieniądze z kraju."

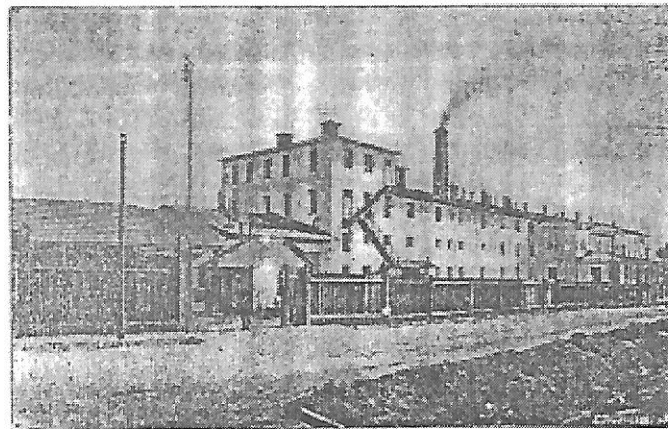
Czyż i dziś te myśli nie są nam bliskie?

Na wiosnę 1845 r. Dzieduszycki wydzierżawił cukrownię bankierowi wiedeńskiemu Wertheimsteinowi, z zobowiązaniem do rozbudowania fabryki. W tym też roku Dzieduszycki umiera, a wdowa po nim wydzierżawiła dobra tłumackie. W 1849 r. Wertheimstein nabył cukrownię na licytacji. Fabryka została przebudowana, a jej produkcja wzrosła do 30 tys. centarów cukru rafinowanego. Rafineria mogła dostarczać dziennie 1500 głów cukru dziennie.

Rozwinęła się uprawa buraków cukrowych na plantacjach tłumackich. Pobudowano gościńce, mosty, osuszono moczary.

Do końca 1851 r. fabryka wyprodukowała 43 tys. centarów rafinady. Rozszerzył się eksport na Bukowinę i Mołdawię.

Wertheimstein zabrał jednak w długi i w 1852 r. zbankrutował, a rok później cukrownię nabyła spółka bankierów wiedeńskich. Zastosowane w 1867 r. metody technologiczne wpłynęły niekorzystnie na wydajność produkcji, co stało się początkiem upadku cukrowni. Wydobywanie za pomocą wirowek („centryfug”) tzw. „cienkiego” soku buraczanego,



Widok cukrowni w Tłumaczu (Zdjęcie z natury). 1894 rok

wysoki koszt wyparowywania tych soków, a także trwająca aż do lutego, a nawet marca przeróbka buraków pogarszała się, wszystko to doprowadziło do upadku tłumackiej cukrowni.

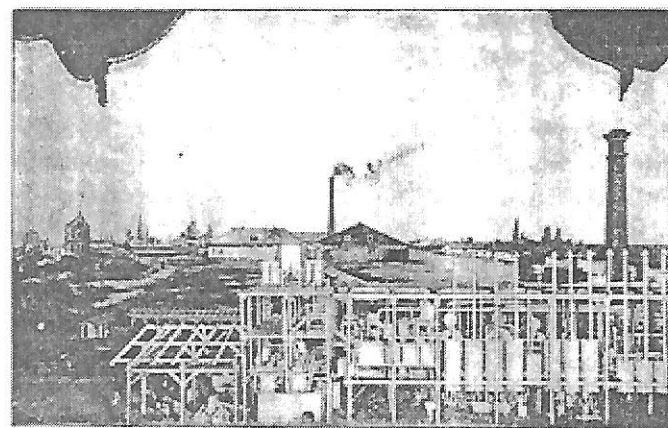
W 1876 r. została ona zamknięta, maszyny i urządzenia sprzedano, zabudowania wykorzystano na spichrze lub magazyny. Dopiero w 1890 r. dyrektor cukrowni w Kralowych Hradach Alojzy Volter przystąpił do uruchomienia cukrowni, do czego przyczynił się również Emil Filip John, właściciel Tłumacza. Dzięki jeszcze innym poparciom 15 listopada 1891 r. cukrownia na nowo została uruchomiona. Rozwinięta została produkcja na większą skalę. Wyposażona w najlepsze urządzenia zaczęła przerabiać dziennie 4 tys. centarów buraków. Zbudowano 1500 metrowej długości wodociąg oraz drugi 800 metrowej długości łączący zbiornik z rzeczułką Tłumaczyk.

W 1892 r. od stacji Pałahicze zbudowano do fabryki tor kolejowy długości 6,5 km, a rok później założono kolej konną wiodącą z cukrowni do odległych (10,5 km) folwarków w Gruszcze i Jezierzanach uprawiających buraki cukrowe.

W 1894 r. we Lwowie na Wystawie Krajowej swój pawilon miała cukrownia tłumacka przedstawiając swoje produkty, informując o budowie i urządzeniach fabryki, o rodzaju i wielkości produkcji. Na tę okazję wydano „Przewodnik po Pawilonie Tłumackim”, z którego korzystałem opracowując niniejszy tekst.

I na zakończenie nieco statystyki. W 1892 r. w Galicji liczącej 6774000 ludności roczne spożycie cukru przypadające na jednego mieszkańca wynosiło 3,3 kg. Dla porównania: we Francji 13 kg, w Niemczech 10,7 kg.

Cóż, zbyt „słodko” to w tej naszej Galicji chyba nie było!
(c.d.n.)



Model cukrowni

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.)

ks. Lesław Jeżowski

Zakończywszy przechadzkę obydwoma stronami ulicy Trzeciego Maja, zawróćmy w kierunku wschodnim, aby dojść do prawej strony ulicy Kościelnej. Na rogu jej i ulicy Piłsudskiego stała kamienica należąca do p. Kowalewskiego, jeżeli dobrze zapamiętałem jego nazwisko. Prezentowała się dodatnio. Na parterze mieściły się lokale sklepowe. W początku lat trzydziestych jeden z nich wynajmował ks. Tabaczkowski dla sprzedawanych w nim dewocjonalii i publikacji katolickich. Tam też był do nabycia „Orędownik tłumacki”, tygodnik redagowany przez księdza, zajmujący się problematyką powiatu i życiem religijnym. Ponieważ nie miał wielu amatorów, łączono go z kolportażem poczytnego „Przewodnika katolickiego”. Mimo to, po kilku latach ukazywania się, czasopismo to przestało wychodzić. Tłumaczanie nie docenili wartości lokalnej prasy, a jej duchowy wydawca nie miał skąd czerpać potrzebnych funduszy.

Zanim sklep kościelny zbankrutował i przestał się ukazywać „Orędownik tłumacki”, w obydwóch działach p. Biegański. Pojawił się w Tłumaczu chyba na zaproszenie ks. Tabaczkowskiego i pomagał mu w redagowaniu czasopisma. Niewykluczone, że mieszkał na plebanii. Używając laski chodził ulicami szybko i nerwowo. Trochę pochylony na bok bacznie obserwował co dzieje się w mieście. Swoje spostrzeżenia wykorzystywał później w artykułach zamieszczanych w Orędowniku. Pisywał tam też na aktualne tematy ogólnopolskie, moralne i kościelne. Młodzież przezwalała go Fra Diavolo, sugerując się tytułem ekranizacji opery Auber, wyświetlanej w miejscowym kinie. Ale p. Biegański w niczym nie przypominał bitnego oficera neapolitanskiego. Tak, jak nieoczekiwanie pojawił się w Tłumaczu, tak też publicysta Orędownika zniknął z miasta.

Natomiast sądzę, że p. Kowalewski, właściciel wspomnianej kamienicy, nigdy Tłumacza nie opuszczał. Widywałem go bowiem niemal codziennie odbywającego przechadzkę po jego ulicach, zwłaszcza po Słowackiego. Należał do tych kilku osób w mieście, które wzbudzały moje szczególne zainteresowanie. Żyli w Tłumaczu ludzie, którzy w moim odczuciu nie harmonizowali z jego małomiasteczkowym klimatem. Kilku z nich wymieniłem poprzednio. Teraz dołączam p. Kowalewskiego. Wyobrażałem go sobie stojącego na mostku kapitańskim jakiegoś statku, który płynie przez dalekie oceany. Jako jakiegoś drugiego Lorda Jima z powieści Conrada, który wiele przeżywszy na morzach, wspomina to, chodząc po Tłumaczu. Nie wiem skąd brało się moje kojarzenie p. Kowalewskiego z szeroko rozumianą marynistyką. Bo chyba nie stąd, że przechadzając się, trzymał zwykle w ustach fajkę, obrazkowy atrybut wilka morskowego.

Nieodmiennie nosił popielate ubranie i tego samego koloru płaszcz dwurzędowy, zapięty na wszystkie guziki. Na głowie usztywniony popielaty kapelusz z lekko podwiniętym brzegiem obszytym tasiemką. Nie widziałem go nigdy w czyimkolwiek towarzystwie, albo rozmawiającego z kimś. Gdy chodził, nie rozglądał się, zawsze skupiony patrzył prosto przed siebie lub pod nogi. Kilka razy zdarzyło się, że

dochodząc do mnie z naprzeciwka, p. Kowalewski podniósł rękę do kapelusza, jakby chciał się mi ukłonić. Zażenowany, ściągnąłem szybko czapkę z głowy. Bardzo wtedy chciałem aby tajemniczy, w moich oczach, pan coś do mnie powiedział, lecz nigdy się tego nie doczekałem. Sam zaś byłem zbyt nieśmiały, aby jako pierwszy odezwać się do nieznanego w końcu, starszego pana. Na pewno pytałem swego Ojca kim jest p. Kowalewski, ale odpowiedzi nie zapamiętałem, bo zbyt negowała moje conradowskie wyobrażenie o nim. A ono zbyt silnie tkwiło we mnie. Marzyłem, aby p. Kowalewski zaprosił mnie kiedyś do swojego mieszkania na piętrze kamienicy i pokazał swoje marynarskie zbiory, których, jak mniemałem, musiał posiadać sporo.

W narożnym lokalu, przed przeprowadzeniem się na ulicę Trzeciego Maja, p. Żurawski prowadził swój zakład fryzjerski.

Za kamienicą Kowalewskiego znajdowała się mała, niezabudowana parcela, a dalej parterowy dom z dwoma oknami i wejściem pośrodku. Mieszkała tam jakaś młoda, żydowska rodzina, dobrze mi znana z widzenia. Gdy w dni powszednie wracałem po Mszy św. z kościoła, przez otwarte, nisko położone okno, to bliżej Kowalewskiego, widziałem małżeńskie łóżka z rozłożoną na nich, wietrzącą się pościelą. Widziane przeze mnie wnętrze pokoju sprawiło schludne wrażenie. Zdaje się, że obydwójce jego mieszkańcy gdzieś pracowali. Chyba w połowie lat trzydziestych doczekali się potomka. Odtąd na ulicy Kościelnej widywałem go w wózku popychanym przez matkę.

Pomiędzy wspomnianym domem a kościołem stały jeszcze dwa biedne, parterowe budynki. Prawdopodobnie zamieszkiwały je rodziny żydowskie.

Znowu przejdźmy na drugą stronę ulicy i sprzed kościoła wracajmy do Trzeciego Maja. Na jej rogu wzniesiono przed wojną piętrową kamieniczkę. Nie była jeszcze pokryta tynkiem, a wewnątrz nie całkiem wykończona i na piętrze chyba nikt nie mieszkał. Dotykała posesji Winterfelda, właściciela jedynej w Tłumaczu drukarni, która mieściła się w części parterowego domu. W jej wnętrzu widywałem jednego, młodego pracownika. Przeważnie maszyny obsługiwał sam p. Winterfeld. Niewysoki, dosyć szczupły, używał okularów. Pracy mu nie brakowało. Z jego drukarni wychodziły wszelkie afisze, ogłoszenia rozlepiane na mieście, klepsydry, zaproszenia na imprezy publiczne i prywatne, ich programy, formularze używane w miejscowych urzędach i zakładach, bilety wstępu na przedstawienia itd. Jak wspominałem wcześniej, Winterfeld drukował i oprawiał nawet książki, do których należały np. broszurowane prace tłumackiego adwokata, dra Samuela Jampołera. Również „Orędownik tłumacki” przez cały czas swego ukazywania się był drukowany u Winterfelda. Podobnie „Nad poziomy”, pismo gimnazjalne, krótko istniejące i publikacje miejscowego Seminarium Nauczycielskiego. Przypuszczam, że drukarnia, oprócz łacińskiej, rozporządzała również czcionką cyrylicy i alfabetu hebrajskiego, bo widywało się na mieście ogłoszenia i w tych językach.

Nie przypominam sobie p. Winterfeldowej. Być może w latach mojego pobytu w Tłumaczu już nie żyła. Za to doskonale pamiętam jego córkę, absolwentkę szkoły średniej. Po ukończeniu swojej edukacji długo nie wychodziła za mąż i zapewne prowadziła ojcu gospodarstwo. Każdą wolną chwilę spędzała w oknie wychodzącym w kierunku ulicy Trzeciego Maja. Z niego miała daleko sięgający widok. Prawie zawsze, przechodząc ulicą Kościelną, spotykałem się ze spojrzeniem Winterfeldówny zza szyby. Najwięcej wrażeń dostarczały jej niedziele i święta, gdy ulica zapełniała się zdążającymi do kościoła. Średniego wzrostu, gładko czesząca się blondynka nosiła dosyć silne okulary. Doczekała się zamążpójścia przed samą wojną. Jej mąż, lekarz Schwarzbart, był synem miejscowego kupca.

Z następnego parterowego domku zapamiętałem przede wszystkim narożne wejście do piekarni, która została otwarta w latach trzydziestych i należała do małżeństwa Hillów. W lokalu widywało się tylko panią. Ona sprzedawała pieczywo i ciastka, i z ich powodu niezbyt zagrażała piekarni p. Czohary, który zasadniczo słodczy nie wypiekał. W tej drugiej chrześcijańskiej piekarni w Tłumaczu można było zamawiać świąteczne ciasta i torty, w karnawale kupować pączki i chrust.

Ulica Kościelna w tym miejscu kończyła się narożną kamienicą rejenta Czechowicza. On, starszy siwy pan i jego syn, już niemłody, też notariusz, nie mieszkali stale w Tłumaczu. Prowadzili biuro notarialne w jakimś innym powiatowym mieście, ale w swoim domu bywali dosyć często, a już zawsze podczas świąt. P. Czechowicz senior był odznaczony watykańskim orderem Pro Ecclesia et Pontifice. Młodszy Czechowicz, szczupły brunet, robił wrażenie człowieka jakby trochę obcego w środowisku tłumackim, jakby nie posiadał w nim znajomych.

Ich kamienica, położona naprzeciw posesji p. Kowalewskiego, po drugiej stronie ulicy, musiała być bardzo stara. Wyglądała na najstarszą z zachowanych w Tłumaczu. Ściany parteru i piętra były nierówne, jakby wzniesione z kamieni, a nie z cegły, okna nie utrzymywały równej, poziomej linii, ich futryny wykrzywiały się. Do wnętrza domu wchodziło się przez wielką, półokrągłą u góry, drewnianą bramę, przez którą mógłby przejechać duży, wysoko naładowany wóz. Ogromna sień była wybrukowana tzw. „kocimi łbami”, znajdowały się w niej jakieś drewniane galeryjki i rozpoczęły bardzo zużyte schody wiodące w mroku na piętro.

Z lokatorów mieszkających tutaj znałem tylko pp. Rachwałów. On był emerytowanym urzędnikiem, drobnym, siwym, starczo się poruszającym przy pomocy laski. Słabo widział mimo noszonych okularów. Za to pani, znacznie młodsza od swojego męża, była rzutka, szeroko udzielająca się w rozmaitych akcjach społecznych. Z ich dzieci, już dorosłych, zapamiętałem tylko syna, zdaje się najmłodszego z rodzeństwa, chyba Zbigniewa, który po maturze lub kilku klasach gimnazjalnych nie mógł znaleźć odpowiedniego zajęcia i przebywał u rodziców. Wykazywał umiejętności manualne przydatne w gospodarstwie domowym, z których korzystali czasem również znajomi pp. Rachwałów.

Ulica Grunwaldzka

Zawróćmy teraz ulicą Kościelną, aby przed kościołem skręcić w lewo na ulicę pierwotnie zwącą się Wierzbową, a później Grunwaldzką. Zaczynamy od pierwszego parterowego domu po prawej stronie. Stanowił on filię gimnazjum i w pierwszych latach trzydziestych trzy niższe klasy pobierały w nim naukę. Jako uczeń pierwszej klasy tam rozpoczynałem swoją edukację w Tłumaczu. W domu tym mieszkał również tercjan Mostowiak, zanim przeniósł się do główne-

go budynku gimnazjalnego. Oprócz normalnych lekcji w filii odbywały się zebrania organizacji uczniowskich, ks. Witkowski uczył śpiewu kościelnego w sobotnie popołudnia, raz czy dwa prowadził rekolekcje wielkopostne. Oprócz trzech pomieszczeń klasowych, mieszkania tercjana, w domu znajdował się mały pokój nauczycielski.

Zabudowa ulicy Grunwaldzkiej przedstawiała się bardzo skromnie. Stały przy niej małe domki wykonane przeważnie z gliniastej ziemi utwardzonej na drewnianej konstrukcji. Ciąg tych domów z ogródkami od strony ulicy i uprawnym polem od tyłu zaczynał się za filią. Mieszkało w nich sporo Żydów. Np. Schreier, Troper i najlepiej mi znany Hartenstein. Maksymilian Hartenstein był moim klasowym kolegą, toteż często u niego bywałem. Ciągnął mnie na Grunwaldzką również duży ogród Hartensteinów, którego w domu p. Francowej nie posiadałem. Ojciec mego kolegi pracował w kancelarii adwokackiej Makucha, matka zajmowała się domem, najstarszy syn, Leon, skończył politechnikę we Lwowie, Adela chodziła do Seminarium, jej siostra, Hela, chyba też, ale na niższy kurs, a najmłodszy z rodzeństwa, Wilhelm, do szkoły powszechnej. Cała rodzina była inteligentna, żądna wiedzy, czytana. Od Maksa wypożyczałem wiele książek, szczególnie powieści indiańskie Karola Maya, które pochłanialiśmy z zapałem.

Gdy prof. Michał Kędzior wystawiał uczniowskimi siłami „Wesele” Wyspiańskiego, Adeli powierzył rolę Racheli. Odziana w czarną suknię z narzuconym na nią czerwonym szalem, tak dobrze ją wykonała, że tę Rachelę pamiętam do dzisiaj. Lonek m.in. bardzo mi pomógł w dniu mojej matury. Mając na niej zdawać tylko fizykę ustnie, uświadomiłem sobie przy powtórcie materiału z tego przedmiotu, że niezbyt orientuję się w działaniu elektrycznej maszyny Wümsursta (nie wiem jak się pisze nazwisko tego konstruktora) z której korzystaliśmy na lekcjach fizyki. Powiedziałem o tym Maksowi, a on mi zaproponował, abym poszedł do niego do domu, a Lonek na pewno wytłumaczy mi pracę tego urządzenia. Tak się też stało. Za jakąś godzinę w sali egzaminacyjnej wyciągnąłem kartkę z pytaniem właśnie o maszynę Wümsursta. Dzięki Lonkowi wiedziałem już co odpowiedzieć.

Do Maksa i moich zabaw w ogrodzie dołączał się mały Wisiek, któremu zapewne imponowało towarzystwo gimnazjalistów. Dużym ciosem dla całej rodziny Hartensteinów była przedwczesna śmierć ojca mojego kolegi.

Po tej samej stronie, co Hartensteinowie, mieszkał drugi mój klasowy kolega, Fink. Pełne jego nazwisko brzmiało: Diwald valse Fink. Trudno przychodziło nam w szkole zrozumienie takiej nazwiskowej kombinacji. Czy Fink miał na imię Dawid – nie jestem pewny. Lecz pamiętam doskonale jego zdolności do języków starożytnych, zwłaszcza greki. Imponowała mi jego umiejętność kładzenia odpowiednich akcentów w greckich wypracowaniach piśmiennych, która przerastała moje możliwości. Ojciec kolegi, w odróżnieniu od swojego syna, był wysokiego wzrostu, pracował w jakimś tłumackim urzędzie, może Sądzie. Pani Finkowa uczyła w szkole podstawowej.

I już więcej o prawej stronie ulicy Grunwaldzkiej i jej mieszkańcach nie potrafię napisać. Przez osiem lat swego pobytu w Tłumaczu przeszedłem ją do końca zaledwie kilka razy. Bo nawet, gdy zmierzałem do Maksa, to przez Hof i ogród, który kończył się stojącym już przy Grunwaldzkiej domem ukraińskiej „Proświty”, bo naprzeciw niego, po drugiej stronie ulicy, mieszkali Hartensteinowie.

Lewa część Grunwaldzkiej nie o wiele lepiej pozostaje w mojej pamięci poza domostwem pp. Maliszów, znajdującym

się raczej przy końcu ulicy. Posesja obejmowała dwa domy mieszkalne, budynki gospodarcze, ogrody przed i za domem głównym. Całość mogła pretendować do miana dworu, ale nikt w Tłumaczu tak o niej nie mówił, poprzestając na określeniu: u pani Maliszowej. Ona sama częściowo tylko mieszkała w Tłumaczu, przebywając poza tym w pobliskim Oleszowie, gdzie miała posiadłość ziemską i we Lwowie, z którego prawdopodobnie pochodziła. Bardzo szczupła, siwawa, średniego wzrostu, ubierała się ciemno, jeżeli nie czarno, zawsze skromnie. Odznaczała się wielką pobożnością, którą przekazała swojemu synowi, Mieczysławowi, o którym wspomniałem opisując lokal Sodalicji mariańskiej uczniów gimnazjum. W całym tego słowa znaczeniu była działaczką społeczną. Należała do „Sokoła” i umundurowana występowała podczas uroczystości i defilad. Była członkinią, a może prezeską Akcji katolickiej kobiet i innych organizacji kobiecych, Koła Rodzicielskiego, pomagała ks. Tabaczkowskiemu w działalności charytatywnej, współpracowała z różnymi komitetami przygotowującymi rocznicowe obchody, tworzącymi jakieś trwałe dzieła, wzywającymi do znaczących czynów. Niemal każda okolicznościowa akademii, czy tzw. poranek dla młodzieży, nie obyły się bez przemówienia p. Maliszowej. Posiadała wyjątkowy dar wymowy, jasność wyrażania myśli, przyjemny głos, dobrą dykcję, toteż gdy pojawiała się na scenie Sokoła, zgromadzeni na widowni z satysfakcją i przyjemnością słuchali jej słów. Kiedy indziej widziało się ją na ulicach kwestującą na dobre cele.

Śmierć jedyne go, ukochanego syna, nie zdołała jej załamać, ani – używając popularnego określenia – pograżać w żałobie. Pogodziła się natychmiast z wolą Bożą i własnym losem, czemu dała wyraz swoim zachowaniem podczas pogrzebu Mietka i następującym po nim okresie. Duchowe męstwo i pogoda p. Maliszowej zaimponowała wszystkim, którzy ją znali. A kto w Tłumaczu jej nie znał?

Parterowy dom zajmowany przez p. Maliszową stał równoległe do Grunwaldzkiej, oddzielony od niej obszernym, okrągłym gazonem i krzewami. Od frontu i z tyłu posiadał w swoim środku drewniane ganki.

Prostopadle do niego i do ulicy, w pewnym oddaleniu, obok gazonu, znajdował się drugi dom również z drewnianym gankiem, stanowiący jakby oficynę pierwszego. I ten, rzecz jasna, należał do p. Maliszowej. Zamieszkiwał go p. Janiszewski, elegancko się prezentujący sekretarz Wydziału Powiatowego. W pierwszych latach trzydziestych ożenił się w Stanisławowie z już nie pierwszej młodości p. Drohomiczką, wyższą od siebie szatynką, siostrą miejscowego sędziego z ulicy Słowackiego. P. Janiszewska udzielała lekcji gry na fortepianie, z których korzystałem przez kilka lat. Dlatego często byłem w jej mieszkaniu, dochodząc do niego przez Hof i ogród p. Maliszowej. Uczniem p. Janiszewskiej był również Staszek Hrapkowicz, o rok młodszy ode mnie. Czasem grywaliśmy razem na cztery ręce.

Po tej samej stronie Grunwaldzkiej, ale nie wiem, w których domach mieszkały dwie rodziny nauczycielskie pp. Wrońskich i Dębców. Co do tej drugiej nie mam pewności. P. Wroński musiał umrzeć przed moim przybyciem do Tłumacza, albo wkrótce po nim, bo zupełnie go nie pamiętam. Jego żona, też nauczycielka w szkole powszechnej, niska brunetka, zawsze ubierała się na czarno, jakby nosiła jeszcze żałobę po mężu. Wrońscy mieli chyba troje dzieci. Dziewczynę trudno mi sobie przypomnieć w odróżnieniu od chłopców. Starszy, Jan, był klerykiem w Seminarium Duchownym we Lwowie. Wysoki, szczupły, o przyjemnej twarzy brunet pokazywał się w sutannie w Tłumaczu podczas

wakacji. Ale za jakiś czas zrezygnował ze studiów teologicznych. Gdy po kilku latach ja wybierałem się do Lwowa, aby wstąpić do Seminarium Duchownego, Tato radził mi, abym dobrze zastanowił się nad podjęciem tego kroku i nie postąpił później tak, jak Wroński.

Jego młodszy brat, Tadeusz, chodził do gimnazjum wyżej ode mnie. Był niepodobny do Janka. Niski, krępej budowy ciała, wesoły, działał aktywnie w harcerstwie. I on przy mundurku miał zawsze przypięty harcerski krzyż. Pełnił w tej organizacji ważniejszą funkcję. Widywałem go na podwórzu przy Sokole odbywającego zbiórki z kandydatami na harcerzy. Należał do gimnazjalnej orkiestry i z zapałem oddawał się grze na swoim instrumencie.

Obydwoje Dębcowie uczyli w szkole powszechnej. Zdaje się, że p. Marian Dębiec był jej kierownikiem. Średniego wzrostu i tuszy, łysawy, nosił w klapie marynarki jakieś odznaczenie wojskowe – może Związku Oficerów Rezerwy. Grywał na skrzypcach.

Mieszkańcem Grunwaldzkiej, ale nie wiem, w którym domu, był też ks. Pławiuk, kierownik ruskiej bursy przy ulicy Słowackiego, o której relacjonowałem. Jego żony, o ile w ogóle ją miał, nie znałem. Natomiast razem ze mną chodził do gimnazjum, starszy niż ja, młody Pławiuk. Mówiło się, że jest synem księdza, ale podobno był bratankiem. Mieszkał tylko razem ze swoim stryjem. Wysoki, rumiany blondyn, dobrze zbudowany, zaczynał już mocno łysieć, co u uczniów gimnazjalnych nie zdarzało się. Ale nie o nim chcę mówić, tylko o księdzu.

Na pewno był ukraińskim nacjonalistą, ale nie posuwał się do szowinizmu. Z nie-Rusinami rozmawiał zawsze po polsku. Wysoki, szczupły, dosyć łysawy, potrząsał wskutek jakiegoś schorzenia głową. Dlatego młodzież określiła go jako „trysyhołowka”. Przy chodzeniu używał laski. Gdy nasz katecheta, ks. Witkowski, zwykł był dłużej chorować jesienią, ks. Pławiuk uczył nas religii zamiast niego. Lekcje prowadził zajmująco. Również wygłaszał dobre kazania podczas Mszy św. w cerkwi, w uroczystość św. Józefata, patrona greko-katolików, na którą chodziło całe gimnazjum wraz z gronem nauczycielskim. Jeżeli spotkał mnie na ulicy, idącego w jego kierunku, zwykł był wszczynać ze mną rozmowę. Podczas jednej z nich opowiedział mi swój sen, poniekąd dotyczący mojego Ojca i prosił, abym mu go powtórzył. Zaznaczył, że wprawdzie sen-mara, Bóg-wiara, ale...

Dbał o swoich młodych współwyznawców, a szczególnie mieszkających w bursie ruskiej. Na konferencjach pedagogicznych, zwłaszcza klasyfikacyjnych, mężnie stawał w ich obronie, gdy groziło pozostanie na przyszły rok w tej samej klasie.

Nie wiem, czy w domu „Proświty” ktoś mieszkał. Gdy przechodziłem obok niego w drodze do Maksa Hartensteina, zawsze był zamknięty. Niewykluczone, że otwierano go tylko na odbywające się w nim zebrania i imprezy. Szyld na parterowym, małym budynku informował czyją jest własnością. „Proświta” troszczyła się o narodowe i kulturalne życie Ukraińców.

I na tych kilku domach i osobach z ulicy Grunwaldzkiej muszę poprzestać. W uzupełnieniu dodam, że jakby przedłużeniem Grunwaldzkiej była Słobódka, gdzie znajdowała się cegielnia p. Ruczkowskiego, a jeszcze dalej Ganczarówka. Obecnie wracam do początku ulicy Grunwaldzkiej, aby zatrzymać się przy stojącym tam kościele parafialnym, a zarazem jedynym rzymsko-katolickim w Tłumaczu.

(c.d.n.)

Krótką historia jednej klasy gimnazjalnej w Tłumaczu (1918-1926)

Michał Nikosiewicz



Gimnazjum w parku w Tłumaczu

Najwyższym postanowieniem cesarza austriackiego Franciszka Józefa II zostało utworzone w 1910 r. w Tłumaczu państwowe gimnazjum z polskim językiem wykładowym.

Jednopiętrowy budynek szkoły położony był na skraju pięknego parku tak, że uczniowie podczas przerw mogli spacerować i biegać po jego alejkach. Nie zachowały się dokumenty mówiące ilu uczniów było w pierwszych latach nauki, wiemy dopiero, że w 1913/14 r. było ich 263. W tym czasie istniały już cztery klasy główne i cztery pararelne.

Podczas I wojny światowej w związku z dwukrotną inwazją wojsk rosyjskich na miasto (1914 r. i 1916 r.) nauka w gimnazjum była dwukrotnie przerywana. Dopiero po ustąpieniu wojsk rosyjskich otwarto szkołę ponownie 19 listopada 1917 r. – początkowo dla czterech klas niższych, a po 3 miesiącach otwarto również cztery klasy wyższe.

Gdy 1 listopada 1918 r. wskutek zawirowań politycznych (walki polsko-ukraińskie) rządy w Tłumaczu objęły władze ukraińskie i wprowadziły do gimnazjum język ukraiński jako wykładowy, polscy nauczyciele oraz uczniowie zbojkotowali „nową” szkołę. W tej sytuacji uczniowie polscy w 4-5 osobowych zespołach korzystali z lekcji prywatnie udzielanych przez profesorów Polaków.

Dopiero po wkroczeniu wojsk polskich do Tłumacza wiosną 1919 r. młodzież gimnazjalna bez różnicy na narodowość i wyznanie poddała się egzaminom sprawdzającym. W roku szk. 1919/20 nauka odbywała się już normalnie.

Nasza klasa, która rozpoczynała naukę w c.k. gimnazjum w 1918 r., od września 1919 r. była w klasie II. Dwa oddziały klasy mieściły się na piętrze koło sali konferencyjnej i były bardzo liczne gdyż liczyły około 50 uczniów. Najwięcej było Polaków – 27, następnie Żydów – 19 i Ukraińców – 11. Z upływem czasu liczebność klasy zmniejszała się, gdyż wielu kolegów nie przechodziło do następnej klasy. Stan liczebny zasilali trochę repetenci z wyższej klasy oraz uczniowie przybywający z innych miast np. ze Stanisławowa, Kołomyji, Buczacza. Do matury doszło zaledwie dwunastu uczniów spośród tych którzy rozpoczynali razem naukę w 1918 r. Ostatecznie do matury w 1925/26 r. szk. przystąpiło 21 uczniów i uczennic.

Grono pedagogiczne naszego gimnazjum składało się z profesorów, którzy uczyli jeszcze przed wojną (Dąbek, Leśniak, Eile), ale byli i nowi nauczyciele, którzy nie mieli ukończonych odpowiednich studiów. Profesorowie, którzy w czasie wojny byli w wojsku chodzili początkowo w mundurach wojskowych. Również uczniowie których do niedawna obowiązywał granatowy mundur z srebrnymi paskami na

kołnierzu (kl. I-IV) lub złotymi (kl. V-VIII) zaczęli ubierać się różnie, często w ubrania przerobione z wojskowych mundurów ojców lub braci. Na głowach teraz zamiast tzw. „baniaczka” z literą „G” pojawiły się maciejówki.

W roku szk. 1919/20 powstała w gimnazjum dzięki fundacji amerykańskiej organizacja „Dożywianie Młodzieży Szkolnej”. W sutyrnach budynku szkolnego matki uczniów (m.in. p. Domaszewska) urządziły kuchnię i w czasie dużej przerwy uczniowie otrzymywali kubek gorącego kakao z bułką.

Po wojnie okazało się, że wszystkie pomoce naukowe jak atlasy, zbiory przyrodnicze oraz szkolna biblioteka zostały zniszczone przez stacjonujące w budynku szkoły wojska różnych narodowości. Zaczęto więc zbierać fundusze na zakup książek do biblioteki – zajmował się tym polonista prof. Mierzwiński. Uzupełnianiem zbiorów przyrodniczych zajął się prof. Hrapkowicz.

W gimnazjum powstały warsztaty do oprawy książek oraz stolarski do odtworzenia pomocy naukowych. Pomagała w tym drużyna harcerska założona jeszcze w 1912 r., a powstała teraz z „gruzów” dzięki energii ucznia gimnazjalnego Jana Wąsowicza. Zorganizowano izbę harcerską tzw. „harcówkę”. Opiekunami drużyny byli kolejno profesorowie i katecheci gimnazjalni.

Pod kierunkiem prof. M. Mierzwińskiego przygotowano przedstawienia w sali „Sokoła”. Młodzież brała udział w wycieczkach krajoznawczych – zwiedzono zamki w Rakowcu, Jazłowcu, Buczaczu. Podczas jednej z wycieczek zajęto się rozkopywaniem kopców w lesie – chyba w Kolińcach. Ale pomimo całodniowej mitręgi okazało się, że nie jest to – jak przypuszczano – miejsce pochówku z czasów wojen kresowych Pierwszej Rzeczypospolitej tylko kopiec graniczny.

Większość naszej klasy brała czynny udział w różnego rodzaju zawodach sportowych jak piłka nożna, siatkówka, lekkoatletyka.

Dopiero matura w 1926 r. zakończyła nasz udział w życiu szkoły. Klasa pierwsza gimnazjalna, która rozpoczynała naukę w 1918 r. zakończyła swoje szkolne dzieje. Niektórzy z uczniów tej klasy spotkali się ponownie we Lwowie na Uniwersytecie Jana Kazimierza, studiując na różnych jego kierunkach. Spotykali się również w Tłumaczu gdy przyjeżdżali do domów na święta lub wakacje. Nasza więc koleżeńska przetrwała okres drugiej wojny światowej i pomimo wielu bolesnych przeżyć i doświadczeń odżyła ponownie po jej zakończeniu. Zaczęliśmy organizować spotkania koleżeńskie naszej klasy z okazji kolejnych rocznic zdania matury. Rocznicę 30-lecia obchodziliśmy we Wrocławiu, 35-lecia w Ligocie, a „Złoty Jubileusz” – 50-lecia w Warszawie. Na te zjazdy zapraszaliśmy kolegów i koleżanki z ławy szkolnej, jak również kolegów z innych klas, którzy mogli i chcieli uczestniczyć w naszych spotkaniach. Bardzo ważnym i wzruszającym wydarzeniem tych spotkań było uczestnictwo w nich naszego dyrektora gimnazjum prof. Stanisława Mendrali, niektórych Profesorów i Katechetów.

Ale wszystko przemija... Teraz, gdy kreślę te słowa mamy rok 1997 r. i z naszej klasy, która rozpoczynała swoją edukację w 1918 r. pozostało nas tylko dwóch: Kazimierz Biliński, mieszkający w USA i piszący te nieskładne wspomnienia. □

Nasi profesorowie. Szkice – sylwetki

Michał Nikosiewicz

Prof. Stanisław Dąbek (1886-1971)

Prof. Dąbek przybył do Tłumacza po I wojnie w 1921 r., po demobilizacji. Przez dłuższy czas chodził w mundurze wojskowym, bez odznak stopnia oficerskiego. Wiedzieliśmy jednak, że w czasie wojny był oficerem. Uczył w gimnazjum j. greckiego, łacińskiego i kultury klasycznej...

Właściwie to nigdy nie dał się wyprowadzić z równowagi – nie podnosił głosu, najbardziej niesfornych uczniów uderzał kilka razy w plecy kantem oprawionej książki trzymane w ręce. Toteż *Anabasis Xenofonta*, a potem *Homera Iliada* i *Odyseja* miały postrzępione brzegi i ucierpiały najbardziej... Greci uczyli nas od kl. V, łaciny od kl. IV. Naturalnie nie obeszło się bez „bryków” – kupowanych w księgarni „Zorza” Rednera w rynku. Profesor nie kontrolował podręczników, toteż „brykowało się” całe strony, a odważniejsi po prostu całe strony „bryka” wkładali do książki. Dzisiaj wydaje mi się to prawie pewne, że Profesor wiedział o naszych „oszustwach”. Wysoki, dość tęgi, trochę niezgrabny, krótkowidz z „cwikierami” na nosie, gęstą, ciemną czupryną i małymi „angielskimi” wąsikami, nie wyglądał groźnie i groźnym też dla nas nie był. Autorytet wśród młodzieży zdobywał powoli, tak w szkole jak i poza szkołą. Lubił przebywać wśród młodzieży, własnej rodziny bowiem nie posiadał, nie był żonaty, podobno z powodu tragicznej śmierci narzeczonej, toteż cały swój wolny czas poświęcał młodzieży. Był prefektem Bursy, opiekunem drużyny harcerskiej, opiekunem „Kramiku” szkolnego, opiekunem hufca szkolnego P.W. Należał do Tow. Gimnastycznego „Sokół”, brał udział w uroczystościach i defiladach w mundurze sokolim. Nie był jednak zbyt rozmowny, nigdy nie przemawiał na zebraniach i uroczystościach, może nie chciał, a może nie umiał. Żył nad wyraz skromnie, na wakacje wyjeżdżał zawsze na obóz z drużyną harcerską jako opiekun, pomagając często finansowo. Z pewnością ze swojej pensji pomagał materialnie biednym uczniom. Nie pił, palił dużo papierosów, o czym świadczyły zażółcone końce palców. Cenił uczniów zdolnych, zwłaszcza pochodzących ze wsi. Sam pochodził z gospodarskiej rodziny, ze wsi Pysznica. Jak pisał: „...w r. 1893 matka z trudem zaciągnęła go do szkoły, uczyłem się jednak bardzo dobrze, tak że po skończeniu ludowej, zakwalifikowałem się do gimnazjum we Lwowie, do którego jechało się furmanką 50 kilometrów (kolei nie było).”

Niestety życiorys Profesora znamy tylko częściowo, to jest to co w listach podawał. Do końca życia nie dał się namówić do napisania wspomnień. Z listów wiemy, że w roku 1914 nie był zmobilizowany z powodu złego stanu zdrowia (kat. D). Od września 1915 roku służy już w 90 p.p. Kończy szkołę podoficerską, potem oficerską w Lubaczowie. Jako jednorocznik w stopniu plutonowego od lipca 1916 r. jest na froncie pod Łuckiem. Wysłany na kurs aspirantów oficerskich do Chełmna, potem na front znowu z 90 p.p. W zimie 1916/17 skierowany na front już jako podpor. po odbyciu kursów

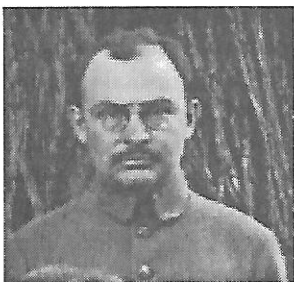
pionierskiego i szturmowego. Rewolucja rosyjska zastała go na froncie w Małaszowicach nad Seretem, na półn. od Tarnopola. Tutaj jest „szefem” wymiany żywności za wódkę z żołnierzami rosyjskimi. Wiosną 1918 jest na Ukrainie, w Odessie, na Krzywym Rogu, koniec wojny zastaje go pilnującego zebranego siana na stepach Ukrainy, skąd z trudem powraca przez Lublin do Rozwadowa do domu, omijając tereny zajęte przez Ukraińców. Z tej wojny austriackiej wyniósł dwa odznaczenia: srebrny medal walecznych i krzyż Karola. W roku 1919 zgłosił się we Lwowie w Cytadeli do 30 p.p. i w Wojsku Polskim odbył trzyletnią służbę. Do tego ostatniego okresu odnosi się wzmianka w liście z maja 1969: „... 50 lat temu, 8.V.1919 r. dokonałem mego orężnego wyczynu, wypierając na czele mojej kompanii w kontrataku Ukraińców, z naszych okopów w Dublanach, na północ od Lwowa, za co otrzymałem Krzyż Walecznych...” O dalszych przygodach wojennych obiecywał napisać... We wrześniu 1939 uciekł z Tłumacza, zostawiając wszystko, nawet książeczki PKO... ratował życie. Okres prawie 20 lat życia Profesora w Tłumaczu jest dobrze znany wszystkim jego uczniom. Co robił w czasie okupacji nie wiemy. Po wojnie uczy w gimnazjum w Stalowej Woli, gdzie przechodzi na emeryturę. Renta wynosi 401 zł miesięcznie, dorabia więc sobie lekcjami. Układa podziały godzin 2 szkół, za co mu płacą, tłumaczy z języków (niem.) artykuły lekarzom, ale celem jego życia staje się ukończenie traktatu „O nowym spojrzeniu na kwadraturę magiczną”, czy „Systematyka kwadratu magicznego”, który po 6 latach wyteżonej pracy kończy w r. 1956. Uzupełnia jeszcze tę pracę stale, stara się zainteresować nią PAN, Tow. Matematyczne, chciałby widzieć swoją pracę w druku, a nie „w pośmiertnych papierach”. Decyduje się ostatecznie złożyć pracę swego życia w dziale manuskryptów w Ossolineum. Czy tak zrobił nie wiemy...

Po wojnie stale choruje; nie ma roku żeby przez kilka czasów miesiący nie przebywał w szpitalu. Cierpi na bezsenność. „Rano o 8 wstaję niechętnie, tak wyglądają dzieje mego starczego żywota” – pisze w liście. Czyta prasę od deski do deski, podtrzymuje korespondencję prawie do samej śmierci. Pismo ma niezmiernie, bardzo czytelne, drobne. Przez pewien okres czasu będąc na emeryturze mieszkał na wsi u ciotecznej brata: „mam tutaj biurko, radio i pokaźną bibliotekę... bratowa jest dość nieznośna, bardzo nie lubi uwag z mojej strony, często robi na przekór to czego ja nie lubię, mimo że płacę za utrzymanie.”

Profesor w stosunku do kobiet był nieśmiały, toteż uczennice to wykorzystywały i nie pamiętam żeby którejś dał dwóję. Podobno starał się o rękę jednej panny w Tłumaczu, podobno swatali go, o czym sam w listach wspomina. Był człowiekiem gołębiego serca i chociaż specjalnych zdolności pedagogicznych nie posiadał był przez wszystkich bez wyjątku szanowany i kochany. Kiedy w latach 60-siątych byłem u niego w Stalowej Woli, mieszkał na terenie budynku szkolnego w pokoiku bardzo małym, przy szatni. Tam na maszynie elektr.

gotował sam śniadania i kolacje, obiady otrzymywał ze stołówki szkolnej. W stroju był bardzo zaniedbany; była czupryna od dawna nie strzyżona, postawa prosta. Cieszył się z odwiedzin, ale niewiele pamiętał z okresu tłumackiego, albo nie chciał o tych czasach mówić. Nie chciał też – jak już wspomniałem – pisać wspomnień z tych czasów. Nie chciał skorzystać z pomocy materialnej ofiarowanej mu przez byłych uczniów. Twierdził, że ma odłożone na książeczkach PKO 20 tys. zł. W ostatnim liście uskarżał się na osłabienie mięśni nóg, po kilku krokach nie miał sił iść dalej. Odszedł cichy, spokojny, godny, nigdy niezapomniany. Pochowany jest w miejscu swego urodzenia w Pysznicy pow. Nisko.

Prof. Samuel Eile (1895-1941)



Dr filozofii prof. Eile do Tłumacza przyjechał w 1920 r. w jesieni, po wojnie, w mundurze wojskowym. Nigdy nie udało się nam dowiedzieć kiedy, gdzie i w jakim stopniu służył w wojsku w czasie I wojny. Uczył historii i geografii. Zawsze w czasie lekcji zdawało się, że jest zajęty

czym innym. Patrzył przed siebie, nie na pytanego ucznia, wypinał brzuch zresztą niewielki, ogryzał paznokcie u rąk, zapinał i rozpinął guziki kamizelki. Nie raz uczeń powtarzał odpowiedź kilkakrotnie zanim profesor zwrócił nań uwagę. Wzrostu więcej niż średniego, z lekką skłonnością do tycia, łysiejący, krótkowidz stale w „cwikierach”. Nie pił, prawie nie palił, kawaler, do żadnych organizacji społecznych, a chyba i politycznych nie należał, towarzysko się nie udzielał. Po zajęciach w szkole szedł do domu, mieszkał szereg lat u p. Sobczuk, wdowy, matki naszego kolegi Alfreda. Co robił w domu właściwie nie wiedzieliśmy, zapewne czytał, może coś pisał, na wycieczki nie chodził. Nie pamiętam go w kinie, w teatrze czy na defiladzie. Historii powszechnej uczyliśmy się z podręcznika Zakrzewskiego, a historii Polski z Lewickiego i Kutrzeby. Przerabialiśmy rozdział za rozdziałem, bez syntezy okresów, problemów, niewiele też z tej nauki zostało w naszych głowach do matury.

Geografię uczył z podręcznika Pawłowskiego (Polski) i Siwaka (Świat). Naturalnie używaliśmy map, był też i globus, ale profesor nie potrafił zająć, zainteresować przedmiotem. Pedagogiem nie był, może mógłby być uczniem? Nie szkodził, niewiele wymagał, dwój nie stawał, czasem gdy uczeń pod koniec roku i z innych przedmiotów był „pogrążony” dołączał się. Zawsze poważny, nie śmiał się, nie dawał się wyciągnąć na rozmowy o sprawach pozaszkolnych. Uczniowie w czasie lekcji robili co chcieli, odrabiali zadania z innych przedmiotów, czytali książki, rozmawiali. Profesor zadawał pytanie według rozdziałów książki i nic go poza tym nie interesowało. W roku 1927/28 z powodu nieporozumień z dyr. Mendralą przeniósł się do Jarosławia. Tam przyjął chrzest, ożenił się i miał syna. Ponieważ po roku 1939 mimo nakazu Niemców nie chciał nosić gwiazdy Syjonu, został zamknięty w więzieniu. Antoni Gładysz w wspomnieniach swoich w książce „Obóz śmierci”

(wyd. 1964 r. II, str. 51) tak opisuje ostatnie chwile życia prof. Samuela Eilego: „... w kwietniu 1941 r. z więzienia w Tarnowie został wysłany transport do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Był w nim Eile. Profesor pozostawił w Jarosławiu żonę i syna, bardzo za nimi tęsknił... Nieszczęście jego polegało na tym, że był Żydem, za to go uwięziono i za to Niemcy znęcali się nad nim w obozie, z wyjątkowym zapamiętaniem. W przeciwieństwie do nas łatwo ulegał depresji. Wierzył w klęskę Hitlera, ale nie wierzył, że dożyjemy tego. Ciągłe przygnębiony, niechętnie wypowiadał swe myśli, a jeśli już mówił, to o domu, o żonie, o synku. Fizycznie miał wszelkie warunki aby przetrwać. Był wzrostu średniego, krępy, doskonale zbudowany i początkowo wydawał się najsilniejszy z nas wszystkich. Jednak pewnego dnia Blockführer zapytał Elię o zawód, wyznanie i pochodzenie. Profesor odpowiedział, że jest nauczycielem gimnazjalnym wyznania katolickiego, pochodzenia niemieckiego. Ta odpowiedź tak rozwścieczyła esesmana, że zamordował Samuela Eilego. Miało to miejsce w kwietniu 1941 r.

Prof. Robert Edward Halkiewicz (1882-1930)

Prof. Robert Edward Halkiewicz do Tłumacza przyjechał z żoną i synem w r. 1922. Średniego wzrostu, otyły, z dobrze odstającym brzuchem, ale mimo tego szybki w ruchach. Policzki lekko nabrzmiały i obwisłe, nieco łysiejący, pogodny, czasem nawet wesoły. Do uczniów zwracał się po „ojcowsku”, zdrabiając nazwiska, imiona: „Łoziu”, „Zubciu”, „Dacuniu”... Uczył greki, łaciny, kultury klasycznej... Nie zawsze miał czas, a może i ochotę przygotować się do lekcji, udawało się więc nam odwrócić jego uwagę na tematy inne... Przy tłumaczeniu bardzo trudnego wiersza z Horacego... zwracał się czasem żartobliwie, ale zupełnie szczerze do uczniów o pomoc: „przeczytaj jak tam jest w bryku...”, albo kazał to tłumaczyć jednemu z najlepszych łacinników w klasie, Mikołajowi Dupelce.

Przez pewien czas był prefektem w Bursie, nie pamiętam czy mieszkał tam z rodziną, czy tylko „dochodził”. Interesował się życiem uczniów, chodził na wycieczki, festyny, zawody sportowe. Z czasem i syn stał się uczniem gimnazjum. Podobno profesor na konferencjach ocen rocznych bronił uczniów słabych. Był lubiany i szanowany, ale trochę lekceważony jako pedagog, nasi najlepsi „łacinnicy” świetnie dawali sobie radę i bez profesora. Nałogów chyba nie miał żadnych, „ostro” trzymany przez żonę, razem z nią uwielbiający syna, który zmarł tragicznie na rok przed śmiercią ojca. Do organizacji społecznych i politycznych nie należał, a w każdym razie czynnie się w nich nie udzielał. Spoczywa w jednym grobie razem z synem na cmentarzu w Tłumaczu. Po śmierci męża i syna p. Halkiewiczowa pozostała w Tłumaczu, nawet po wojnie nie wyjechała, nie chciała opuścić grobów swoich najbliższych. Ostatnio mieszkała u Bohajczuka, tam w latach 60-tych zmarła i została pochowana obok męża i syna.

Prof. Alojzy Rotter (1895-1941?)

Prof. Alojzy Rotter zaczął uczyć zaraz po wojnie w 1920 r. Podobno nie miał żadnego przygotowania peda-

gogicznego, był byłym studentem II czy III roku Politechniki Lwowskiej, uczył nas matematyki, fizyki. Ale w tym czasie brak było nauczycieli z pełnymi kwalifikacjami. Po przeniesieniu się do gimnazjum w Stanisławowie, prof. Rotter uzupełnił swoje studia. Niski, garbaty, chudy, o wyłupiastych oczach, ruchliwy, krzykliwy, często zaglądał do kieliszka, dużo palił. Dużo wymagał od uczniów, czasem niesprawiedliwy w ocenie uczniów, których nie lubił, nie wiadomo dlaczego. Uprzedzony do ucznia męczył go cały rok, a czasem „dwóją” z matematyki zmuszała do powtarzania roku. Powstała więc „samobrona”. W kl. V, VI, VII uczniowie tworzyli grupowe lekcje dla słabszych w matematyce czy fizyce kolegów, prowadzone przez starszych kolegów, albo co zdolniejszych matematyków (Simon, Łukasiewicz, Jaciuk). Profesor w roku 1927/28 przeniósł się do gimnazjum w Stanisławowie, tam się ożenił, miał syna. W czasie wojny służył w Armii Ochotniczej, w gimnazjum był opiekunem i organizatorem powstającego wtedy szkolnego Hufca Przysposobienia Wojskowego. W szkole wśród uczniów nie był lubiany, na lekcje przychodził często nieprzygotowany, wtedy czasem nową lekcję kazał przeprowadzić zdolniejszym uczniom-matematykom. Kontakt naszej klasy z profesorem skończył się na klasie VII, w VIII matematyki nie było, tylko fizyka, której uczył nas prof. Tadeusz Poźniak. Alojzy Rotter został zamordowany w Stanisławowie.

Prof. Marian Mierzwiński (1888-1972)



Prof. Marian Mierzwiński swoją pracę pedagogiczną w gimnazjum w Tłumaczu zaczął w czasie I wojny światowej w r. szkolnym 1917/18. Młody, zdrowy, wysoki, przystojny, z małym angielskim wąsikiem, włosami zaczesanymi „na jeża”, chętnie chodził na wycieczki, zawołany ry-

bak, myśliwy, palił dużo. Założył rodzinę w Tłumaczu po zakończeniu wojny, żeniąc się z panną Hanną Tuzinkiewicz (Stasią). Dzieci, córka i syn, urodzone w Tłumaczu, tam chodziły do szkół, córka zdała maturę w 1939 r.

Lekcje zaczynał czasem z opóźnieniem, wpadał wówczas do klasy po dzwonku, najwyraźniej zaspany, a mieszkał bardzo blisko gimnazjum. Zaczynało się lekcje od omawiania ostatniej wyprawy na ryby, wycieczki, przedstawienia teatralnego uczniów, które profesor reżyserował. Po kilku lub kilkunastu minutach takich pogwarek zaczynały się lekcje. Wykładał dobrze, umiał zainteresować przedmiotem, ale z naszym rocznikiem (matura 1926) zakończył wykłady literatury na Mickiewiczu, reszta tj. Słowacki, Krasiński, pozytywści, „Młoda Polska”, no i literatura współczesna była potraktowana bardzo skrótowo. Podejrzewaliśmy, że „tej reszty” profesor sam jeszcze dokładnie nie zgłębił. Czasem, o zgrozo, lekcję z miejsca profesor zaczynał od pytania i wtedy często padały dwóje, zwłaszcza przy odpytywaniu wierszy zadanych na pamięć. A było tego sporo... „Na Anioł Pański biją dzwony...”, „Pan Tade-

usz”... Specjalnie „znęcał się” nad uczniami-Polakami, piłował ich, żyłował, aż zmusił do nauki tego przedmiotu. Zrobił z nich „polonistów”. Po maturze, w czasie „towarzyskiej” rozmowy, profesor zapytany w tej sprawie wyjaśnił, że specjalnie zależało mu na tym, żeby uczniowie-Polacy opuszczając szkołę znali dobrze swój język. Od uczniów Żydów i Ukraińców tego nie wymagał, w każdym razie nie w tym stopniu. Ale i wśród Ukraińców i Żydów byli dobrzy „poloniści” (Bloch...). Bardzo dobrze organizował pozalekcyjne doształcanie w zakresie języka polskiego, „seminaria” (w niedziele, po nabożeństwie), akademie, przedstawienia szkolne, bibliotekę (którą założył i stale powiększając prowadził). Na terenie pozaszkolnym bardzo bezpośredni, wesoły, zawsze pogodny. Na lekcjach opanowany, nigdy nie uniósł się gniewem. Uczył w Tłumaczu do r. 1939. Krótko, przez okres „bezkrólewia”, po odejściu dyr. Stanisława Mendrali, a przed przybyciem dyr. Bułkowskiego prof. Mierzwiński zastępował kierownika gimnazjum. Mieszkał przy ul. Kolinieckiej. W czasie ostatniej wojny (1939) uratował się wyjeżdżając z Tłumacza do Lwowa. Nie znam losów profesora w czasie okupacji... Po wojnie organizuje i uczy w szkole średniej w Prudniku, na Opolszczyźnie. W roku 1956 był na naszym zjeździe we Wrocławiu, potem ciężko zachorował, do pracy już nie powrócił, przeszedł na emeryturę. Powszechnie lubiany przez młodzież i starsze społeczeństwo, brał udział w życiu społecznym, przemawiał, wygłaszał referaty na akademiach i uroczystościach szkolnych, narodowych, państwowych. Spoczywa na cmentarzu w Gliwicach.

Dyr. Henryk Krzyżanowski (1878-1944)



Prof. Krzyżanowski stanowisko dyrektora gimnazjum w Tłumaczu objął w roku 1918, ale po przejściu władzy w mieście przez Ukraińców 1.XI.1918 wyjechał z Tłumacza. Powrócił w 1919 roku po zajęciu Tłumacza przez wojska polskie. Pełnił obowiązki dyrektora do roku 1922, następnie przeniósł się do

Żółkwi (a potem do Brodów?). Dość wysoki i tęgi, wydawał się niezgrabny, zwłaszcza przy chodzeniu. Włosy rzadkie, szatyn, mówił trochę niewyraźnie, sepleniąc przy tym, czasem zdrabniał imiona czy nazwiska uczniów. Uchodził za ostrego, wymagającego, trochę złośliwego. Uczył greki i łaciny, polskiego i to tylko w klasach wyższych. W naszej klasie nie uczył, czasem przychodził na zastępstwa i wtedy na klasę padał „błdy strach”. O ile pamiętam nie był lubiany przez młodzież, którą karcił za uczniowskie wybryki, zwłaszcza nie lubił gry w piłkę nożną. Na wycieczki z nami nie chodził, pozaszkolnym życiem młodzieży nie interesował się, „nie udzielał się”. Dyr. Krzyżanowski miał młodą i ładną żonę i dwoje miłych małych dzieci.

Zmarł w Rzeszowie podczas wojny trafiony odłamkiem granatu w głowę.

Matura w Państwowym Gimnazjum w Tłumaczu

Romuald Tuzinkiewicz

W celu przywrócenia pamięci moim kolegom maturalnym (rok 1935) załączam tableau wykonane przez fotografa tłumackiego Schorfa z nazwiskami profesorów i kolegów (niestety nie wszystkie imiona i nazwiska pamiętam).

W maju 1999 r. minęły 64 lata od chwili, kiedy 19-tu uczniów Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu przystąpiło do egzaminu dojrzałości po ośmiu latach nauki w tej szkole.

Maj 1935 r. był rokiem żałoby po śmierci Marszałka

Józefa Piłsudskiego, a Jego życiorys i działalność w tworzeniu państwa polskiego była tematem maturalnym z języka polskiego.

Tych 19-tu abiturientów, których podobizny umieszczono w tableau przedstawiającym okręt, pożeglowało w świat, każdy w obronę przez siebie drogę, lecz nie wszystkim było dane osiągnąć swój cel. Wielu z nich złożyło ofiarę życia za wolność Ojczyzny w okresie drugiej wojny światowej, a miejsca wiecznego spoczynku rozrzucone po świecie.



Na lewej od góry i z boku dyrektor gimnazjum K. Bułkowski, od lewej z góry prof. St. Dąbek (greka i łacina), drugi (?) , trzeci prof. dr L. Hauzer (język niemiecki), czwarty prof. dr O. Skibniewska (język polski), piąty ksiądz prof. dr M. Witkowski (rel. rzym.kat.), szósty ksiądz prof. L. Pławiuk (rel. gr.kat.), siódmy prof. W. Ehrlich (matematyk), ósmy (?) (historia), dziewiąty prof. Urman (rel. mojżesz.), dziesiąty prof. Hrapkowicz (wych. fiz.).
Abiturienti: z lewej od góry: 1) Belejowicz, 2) Berezowski, 3) Burkiewicz, 4) Dłutowski, 5) Dressler, 6) Hołowatyj, 7) Lójjw, 8) Neuman, 9) Obuszczaak, 10) Ossowski, 11) Panyk, 12) Piotrowski, 13) Reiss, 14) Ruczkowski, 15) Rudolphi, 16) Rymarczuk, 17) Sakajluk, 18) Siudak, 19) Tuzinkiewicz

Przewodnik Automobilowy po Polsce – mapki na tylnej okładce – (przedruk – wyjątki)

Halicz



Halicz – Ruiny zamku

Miasto powiatowe o 5000 m. położone na prawym brzegu Dniestru, największej rzeki południowo-wschodnich ziem polskich. Halicz należy do najstarszych miast w Polsce, a w XI i XII w. był stolicą ruskiego księstwa i siedzibą biskupów. Wielkością nie ustępował Kijowowi, posiadał 100000 m., kilkanaście kościołów i cerkwi i zajmował przestrzeń 5 km. wzdłuż i wszerz. W 1240 r. zniszczyli miasto Tatarzy, a później się już Halicz nie podźwignął, tracąc swe znaczenie na rzecz Lwowa. Tradycję księstwa halickiego przywróciła Austria po rozbiórce Polski, nazywając ziemie zabrane „Galicją”. Jedynym zabytkiem z ubiegłych wieków, który się zachował, są ruiny zamku wzniesionego na wzgórzu nad miastem w XIV w., a w 1675 r. zniszczonego przez Turków. Osobliwością Halicza jest żydowska sekta Karaimów, nie uznających talmudu, ale jedynie pismo święte. Mają tu oni swą synagogę.

Za Haliczem wznosimy się na grzbiet wzgórz, które oddzielają dolinę Dniestru od doliny Łukwi. Po 5 km. mijamy wioskę Kryłos z cerkwią z XVI w., która ma stać na miejscu katedry ruskiej dawnego Halicza. Z wzgórz zjeżdżamy w dolinę rzeki Bystrzycy – dopływu Dniestru.

Stanisławów

Przejazd ul. Halicką, Rynkiem, Karpińskiego, Kazimierzowską. Lokalne ograniczenia ruchu: Zamknięte dla ruchu kołowego: Aleja Ułanów, Krehowieckich, ul. Podzamecze, ul. Zamkowa.

Stanisławów, który wraz z przedmieściem Knihinin, stanowiącym osobną gminę, liczy 70000 m., jest stolicą województwa i siedzibą biskupa grecko-katolickiego. Miasto założone w XVII w. przez Stanisława Potockiego, nie posiada wybitniejszych zabytków. W czasie wojny europejskiej leżał Stanisławów na samym froncie, zajmowany kolejno przez Rosjan i Austriaków, a w 1927 r. w czasie odwrotu Rosjan uległo śródmieście spaleni. Barokowy kościół farny fundacji Andrzeja Potockiego z 1662 r. Za katedrę grecko-katolicką służy dawny kościół Jezuitów, barok z 1715 r. Kościół ormiańsko-katolicki z 1762 r. przy końcu ul. Lipowej ładny park miejski. Wyjeżdżamy z miasta w kierunku południowo-zachodnim.

Tyśmienica

Miasteczko o charakterze na pół wiejskim o 11000 m., jedna z najstarszych osad ormiańskich w Polsce, dokąd Ormianie przybyli już w 1062 r. Kościół Dominikanów, cerkiew i kościół ormiański. W okolicy wiele mogił tatarskich.

Tłumacz

Miasto powiatowe o 6000 m. z ładnym parkiem miejskim. Wkraczamy na teren Pokucia, urodzajnej wyżyny położonej między Dniestrem, a Czeremoszem, której centrum



Kapela huculska

stanowi miasto Kołomyja, a nazwa pochodzi od miasta Kuty. Jest ona jak gdyby przedłużeniem ku południowi urodzajnego Podola, od którego oddziela je rzeka Dniestr.

Nieżwiska



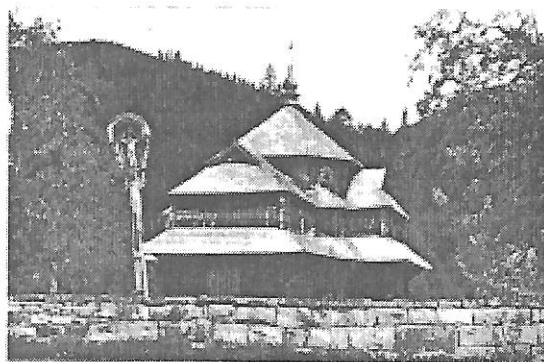
Jar Dniestru

Wieś nad Dniestrem. Warto zboczyć 1 km. na północ, aby zobaczyć jar Dniestru, największej i najpiękniejszej rzeki południowo-wschodnich ziem polskich. Dniestr płynie tutaj w jarze, na poziomie o sto kilkadziesiąt metrów niższym, niż sąsiednie wyżyny podolska i pokucka. Tworzy on tu ogromne zakręty, a jego jar o stromych, miejscami skalistych brzegach, przedstawia się bardzo malowniczo, do tego stopnia, że okolicę tę nazywają Naddniestrzańską Szwajcarią. Miejscowa ludność ruska odznacza się oryginalnością typów i pięknnością strojów ludowych, a wsie zabudowane są pięknymi i czystymi chatami.

4 km. na północ od Nieżwisk leży na prawym brzegu Dniestru Rakowiec z ruiną zamku, zbudowanego w 1660 r., zniszczonego w 1769 r. w czasie walk konfederatów barskich.

Horodenka

Miasto powiatowe o 12000 m. Pałac ks. Lubomirskiego w dużym parku. Na rynku rokokowy kościół i cerkiew,



Drewniana cerkiew w Tatarowie

ufundowane w połowie XVIII w. przez Mikołaja Potockiego. Fabryka cykorii

Oroszeni granica państwa. □

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)

Po załadowaniu nas pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Jechaliśmy tak trzy dni i kiedy opuściliśmy wagony przekonaliśmy się, że jesteśmy w Mikołajewsku nad morzem Czarnym. I znowu wędrówka do więzienia z eskortą i psami. Jedno z więzień w Mikołajewsku, do którego nas wprowadzono, był to gmach przebity z żeńskiego pensjonatu. Sale nie były takie duże jak w Chersoniu, a więc podzielono nas na mniejsze grupy. Dostałem się z grupą około 50 więźniów do pomieszczenia o dwóch dużych oknach zakratowanych, które z zewnętrznej strony były zabite deskami, a tylko dwie górne szyby były zaopatrzone w kosze wpuszczające skąpą ilość światła do celi. Wzdłuż wszystkich czterech ścian zbite były rusztowania drewniane mające nam służyć za posłania. Ani sienników, ani koców nam nie dano, układaliśmy się na gołych deskach. Ponieważ na rusztowaniu nie wystarczyło dla nas wszystkich miejsca, część naszych towarzyszy ułożyła się na podłodze. Pierwszy koło drzwi położył się kapuś. Muszę o nim kilka słów napisać, gdyż budził podziw swoim spokojem i opanowaniem; był major kawalerii, miłośnik koni i doskonały jeździec. W chwilach dobrego humoru opowiadał nam swoje przygody z wyścigów i konkursów konnych, a także przygody myśliwskie, gdyż lubił polować i doskonale strzelał. Poza tym spał całymi dniami, zawinięty w koc. Tłumaczył nam, że to jest najlepszy sposób spędzania czasu w więzieniu. Obok ulokowali się Komornicki, Wiśniewski, naczelnik sądu z Tłumacza i kilku policjantów. Po przeciwnej stronie ulokował się nasz najstarszy współwięzień inż. Szmid z Tłumacza. Naprzeciw okien ulokował się Koprowski, który znowu wśród nas się zjawiał i nowy więzień Dąbrowski, który był woźnicą w Jarremczu, a teraz za kilka papierosów gotów był sprzedać najlepszego przyjaciela. Dąbrowski był jeszcze gorszym draniem od Koprowskiego. Chudy smarkacz, skakał do oczu spokojnym ludziom i prowokował do awantur i bójek, które rozstrzygali na korzyść Dąbrowskiego. Dowiedzieliśmy się później, że nazwisko którym się obecnie posługiwał było przybrane bezprawnie. Kilka dni po przybyciu do Mikołajewska poprowadzono nas do łaźni i odwieszalni. Przechodziliśmy przez obszerne podwórze otoczone wysokim murem kamiennym. Pogoda była piękna i słońce grzało silnie. Wprawdzie był to dopiero kwiecień, ale nad morzem Czarnym jest o tej porze wiosna w pełni. Szpaki gnieźdzące się na drzewach i w murach więziennych gwizdały i przekrzykiwały się w swoich pogwarkach i kłótniach. Doszliśmy do łaźni mieszczącej się w odległym końcu podwórza. W przedsiönku rozebraliśmy się i oddaliśmy swoje rzeczy do odwieszalni. Był tu duży kocioł żelazny, hermetycznie zamykany. Wrzucano tam ubrania i bieliznę, zakręcano szczelnie i przepuszczano parę. My tymczasem czekaliśmy na wejście do łaźni, wpuszczano nas tam po 15. W pomieszczeniu do którego nas wpuszczono było umocowanych u sufitu 10 sitek (prysznic), z których połowa była nieczynna. Szybko pakowaliśmy się po dwóch pod jedno sitko, bo czas był ograniczony, bez zapowiadania zamykano ciepłą wodę i puszczano zimną. Następnie wypraszano nas a wpuszczano następnych 15. Jak wszyscy byli wykąpani wprowadzano nas do celi. W Mikołajewsku urządzano nam co dwa tygodnie kąpiel, co było dla nas zbawienne, a dla naszych ubrań fatalne, gdyż wychodziły z kotła pomięte, przepalone szmaty, niepodobne do tych, które oddaliśmy do dezynfekcji. W celi zaczęło się życie

układać podobnie jak w Chersoniu. W czasie dnia Komornicki wykładał małej grupce rolnictwo i inni opowiadali sobie przygody z życia. Wieczorem przed apelem jeden z więźniów opowiadał dla całej celi wśród ogólnej ciszy, albo streszczenia ciekawych książek, albo własne przygody. Kiedy przyszła kolej na mnie opowiadałem zmyśloną historię z dawnych czasów o więźniach carskich, wśród których znajdowali się kapusie bardzo podobni do naszego Koprowskiego i Dąbrowskiego. Ponieważ moje opowiadanie przeciągnęło się do apelu po którym obowiązuje cisza, musiałem następnego dnia kontynuować opowiadanie do końca. Opowiadanie kończyło się ucieczką więźniów i masakrą jaką urządzili więźniowie kapusiom i donosicielom. Opowiadanie moje tak się ogółowi podobało, że od tej pory co wieczora tylko ja opowiadałem streszczenia czytanych książek, a także fantazje mego pomysłu, które na ogół lepiej się podobały. Na skutek mego pierwszego opowiadania wybuchła bójka między Koprowskim, a młodym saperem, którego nazwiska dzisiaj nie pamiętam. Bójka była zażarta. Koprowski okazał się silniejszy, a saper bardziej zawzięty. Ponieważ było gorąco walczyli tylko w spodniach bez koszul, wykorzystał to saper, chwycił Koprowskiego zębami w okolicy żeber i ścisnął tak mocno, że trysnęła krew. Na ten moment wpadli strażnicy do celi, zabrali Koprowskiego od nas na zawsze, a sapera wsadzili na 24 godz. do karceru. W Mikołajewsku wyprowadzano nas codziennie na 15 min. spacer. Z jednego z takich spacerów przyniósł jeden z więźniów gwóźdź do celi – było to niedozwolone. Najpierw na spacerze nie wolno niczego z ziemi podnosić, a po wtóre w celi nie wolno niczego ostrego posiadać. Znalazca gwóźdź zaczął w celi coś tym gwóździem majstrować. Podpatrzył to strażnik i wpadł nagle do celi, ale więzień był szybszy i ukrył gwóźdź tak, że skrupulatna rewizja niczego nie dała. Strażnicy wściekali się i obdarzali nas pięknymi epitetami, ale kiedy jeden z nich powiedział, że Polacy rozrabiać umieją, ale są za tchórzliwi żeby się do tego przyznać, wystąpił Szmid i powiada: „ja miałem gwóźdź”, na to strażnicy „oddaj”, a Szmid do nich: „znajdźcie sobie”. Zabrali go natychmiast do karceru. Kiedy powiedziałem strażnikom, że to świństwo, żeby zabierali starego, niewinnego człowieka, zamiast młodego tchórze. Zapukałem w drzwi i powiedziałem, że to ja miałem gwóźdź, obok mnie stało jeszcze pięciu kolegów powtarzających to samo. Wezwano naczelnika, który po wysłuchaniu przebiegu całej sprawy, kazał Szmidą zwolnić, a nas pięciu zrugął i na tym się incydent zakończył. Jakoś przy końcu maja otworzyły się drzwi i do celi weszło kilku ludzi w mundurach. Między nimi był naczelnik więzienia i nieznamy młody człowiek, któremu wszyscy zdawali się podlegać. Młody człowiek ubrany był dziwnie, na nogach miał wysokie do kolan safianowe buty popielatego koloru, granatowe bufiaste bryczesy i białą na spodnie wyrzuconą koszulę przepasaną paskiem. Koszula miała stojący wyszywany kołnierzyk, tak samo rękawy jak i przód koszuli były haftowane kolorowo. Na wstępie zapytał nas ten haftowany dygnitarz czy nie mamy jakichś zażaleń. Kiedy wszyscy bez wyjątku skarżyli się na niedostateczne i niedobre jedzenie, odpowiedział naczelnik, że karmiono nas doskonale, że na południe dostajemy zupe, w której jest i „buraczok, i łystok kapusty i markowka”, jednym słowem „gospockaja piszcza”. Kiedy sprawa wyżywienia została tak fachowo wyjaśniona, przystąpił dy-

gnitarz do zadawania nam pytań. W pobliżu drzwi znajdowała się grupa ziemian: Capri, Wiśniewski, Komornicki i Polański. Zaczęło się od pytania co robili przed wojną? Najpierw Polański powiedział, że był agronomek i pracował u (pomieszczyka) właściciela majątku. Za nim mniej więcej tak samo odpowiadali inni. Widziałem drwiące uśmiechy całej komisji, nie powiedzieli jednak nic. Potem była grupa sędziów, których bardziej szczegółowo wypytywano jak sądzili robotników i chłopów i za jakie przestępstwa. W czasie tego egzaminowania padło pytanie: „czy wśród was nie ma prokuratora?” Usłudni wskazali Józia Stankiewicz, który był drugim prokuratorem w Katowicach. Przystąpili od razu do niego i zaczęła się taka rozmowa: „wy prokurator?”, „tak” padła odpowiedź. „a czy wy jesteście prawnikiem (juryst)?”, „tak” pada odpowiedź „U nas w Polsce nie do pomyslenia aby prokuratorem mógł zostać człowiek bez studiów prawniczych”, „a dużo wy robotników skazali na więzienie?”, odpowiedź: „u nas wyroki wydawał sąd, a prokurator tylko oskarżał, otóż ja oskarżałem tych, którzy na to zasłużyli”, Pytanie: „a za co oskarżaliście?”, „za zabójstwa, za kradzież, za i inne przestępstwa” pytanie: „a za komunizm dużoście oskarżyli?”, na to Stankiewicz: „nie byłem prokuratorem od spraw politycznych, tym zajmował się starszy kolega”, pytanie: „baliście się pewnie oskarżać komunistów?” na to Stankiewicz: „w Polsce nie miałem się czego bać, tobym ich więcej posadził, aniżeli wy nas”. Dygnitarze w tym miejscu przerwali rozmowę ze Stankiewiczem i zwrócili się do obok siedzącego mjr. Zareby (Zaremba), który zresztą jak wszyscy inni odpowiadał po polsku. Zapytano go dlaczego nie odpowiada po rosyjsku?, „Bo nie umiem” odpowiedział Zaremba, „Jak to może być” zapytali, „już jesteście 4 miesiące w Rosji, i nie umiecie?” „a od kogo miałem się nauczyć?”, „chociażby od dozorczy”, „to czego nas strażnicy nauczyli to umiem”, „no to powiedzcie”. Na to Zaremba: „Job twoju mać, dawaj po bystrej”. Potem dłuższy czas rozmawiali z policjantami, w końcu zwrócili się do mnie z zapytaniem: czym się w Polsce zajmowałem? odpowiedziałem, że robiłem co mi się chciało, byłem „pomieszczykiem”. To im się widocznie podobało, bo zwrócili się ponownie do poprzednio przesłuchiwanym ziemian ze słowami: „no widzicie agronomy, co wasz kolega powiedział, my przecież wszystko wiemy”. Wizyta była skończona, cała komisja opuściła salę. Teraz zaszumiało u nas w celi, komentowaliśmy cały przebieg rozmów, szczególnie roztrząsaliśmy śmiało odpowiedzi Stankiewicza i doskonałą odpowiedź mjr. Zaremba. Zapomniałem napisać na wstępie, że codziennie rano wyprowadzano nas grupami po

dziesięciu do ustępu, w którym były tylko trzy oczka, a w kącie kran z wodą. Cała grupa musiała w przeciągu 15 minut załatwić swoje potrzeby i w dodatku umyć się. Były to bardzo przykre sceny, bo nie wszyscy, szczególnie starsi ludzie, mogli nadążyć. Po miesięcznym pobycie w Mikołajewsku zaczęto wyprowadzać po kilku więźniów w nieznane. Pierwszych z naszej celi wywołał Wiśniewskiego i Komarnickiego, zrobiło to przygnębiające wrażenie i na nas i na wywołanych. Wiśniewskiemu zaczęły się ręce trząść tak, że nie mógł pałta włożyć, musieliśmy mu pomóc. Nie było czasu na pożegnania, gdyż wypchnięto ich brutalnie na korytarz. Wśród nas pozostałych wywołało to żal i domysły, co też z nimi zrobiono i gdzie ich wywieziono. Od tego czasu zaczęły się co kilkanaście dni wyprowadzki więźniów z celi i wywóz w nieznane. A odbywało się to mniej więcej w taki sposób: otwierały się z łoskotem drzwi i wchodziło kilku konwojentów z których jeden wywoływał nazwisko i imię oraz imię ojca, tak zwane „otczestwo” i dodawał „dawaj z wieszczami”. Kiedy zostali już wszyscy wywołani następowało gwałtowne popędzanie „dawaj po bystrej”. Nie było czasu na pożegnania, krótki uścisk dłoni najbliższych sąsiadów i już zamykały się drzwi za wyprowadzonymi. Wtedy dopiero powstawał w celi gwar i domysły, gdzie ich wywieziono? Nadszedł dzień, w którym po otwarciu drzwi padło i moje nazwisko, była to jakaś większa wywózka, gdyż tylko z naszej celi wywołano 10 nazwisk. Spakowałem się szybko i zacząłem się żegnać, kiedy zbliżyłem się do inż. Szmidy uściskał mnie i dwie duże łzy spadły na jego siwe włosy. Szmida jak i wielu innych nie zobaczyłem już nigdy. Wyprowadzono nas na podwórze gdzie czekały już dwie grupy więźniów do których dołączyliśmy. Nastąpiła zwykła przemowa: „szach w prawo, szach w lewo, przemieniak budem o bursie”, „poniali?”, „nie poniali”, „strilać budem job waszu mać”. Następnie ustawieni w czwórki, otoczeni przez silny konwój i kilka psów, ruszyliśmy na dworzec. Wagony przeznaczone dla nas były już podstawione. Jak one wyglądały pisałem już poprzednio, budowano je masowo, gdyż w tym szczęśliwym kraju „gdzie tak lochko dyszat czołowiek” było dużo pasażerów przewożonych masowo w ten sposób. Załadowano nas szybko i zaraz po załadowaniu i doczepieniu do pociągu osobowego, pociąg ruszył. Jak zwykle nie wiedzieliśmy gdzie nas wiozą, ale nie matrwiliśmy się tym, było nam już wszystko jedno co z nami robią. Po dwóch dniach drogi stanęliśmy na wielkim dworcu gdzie nas szybko wyładowano, nie obeszło się bez tradycyjnego klękania na ziemi.

Był to Charków.

(c.d.n.)

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Wspomnienia spisane... (c.d.)

Janina Kochańska-Reich

Dom gospodarzy należał do największych we wsi: dwie spore izby i kuchnia. Zbudowany był jak wszystkie z ziemi. Pługiem na stepie orano długi pas ziemi z darnią, cięto go potem na duże kawałki w kształcie kwadratów i układano z tego ściany. Przez całą długość domu kładziono cienką belkę, o nią wsparte były żerdzie i gałęzie, na nich glina i to tworzyło dach. Ściany z obu stron smarowano gliną wymieszaną z odchodami zwierzęcymi, to samo robiono z podłogą. Dom taki był bardzo nietrwały, po dwóch, trzech latach ściany zaczynały się pochylać, pękać i trzeba było stawiać

nowy. Ale najbardziej przykre było to, że w ścianach gnieździły się nieprzeliczone roje stonóg i szczypawek, których wszędzie było moc. I w jedzeniu i w pościeli i w każdym miejscu. Na tę plagę nie było żadnego sposobu.

Nie wszyscy mogliśmy się pomieścić na kwaterze u naszych gospodarzy, a więc Janka (Tuzinkiewicz – przyp. red.) mieszkała z p. Szmidową, a Lala, Staś i ja chodziliśmy na noc do innej chałupy. Tam z braku lepszego legowiska sypialiśmy na podłodze, na czymś w rodzaju siennika. W tej samej izbie spali gospodarze, młode małżeństwo z malutkim dzieckiem. Codziennie rano, gdy tylko gospodyni otworzyła drzwi, do izby wbiegała świnia i z głośnym chrząkaniem, roztrzając nas ryjem, robiła sobie miejsce i kładła się między nami. Żadne odganianie nie pomagało. Trzeba było

wstać i iść, a wieczorem znowu kłaść się w barłóg, w którym wcześniej wylegiwała się świnia. Wszystko to było bardzo przykre, upokarzające i nawet dzisiaj, po tylu latach, wspomnienie tego budzi we mnie wstręt.

Od początku posyłano nas do pracy. Raniutko, gdy jeszcze było ciemno, przez wieś przejeżdżał na koniu brygadier i głośnym wołaniem: „Dawaj na rabotu!” budził mieszkańców. Prace były różne, cięższe i lżejsze, ale dla nas, mieszkańców miast nie obytych z wsią, wszystko było nowe i trudne. W maju, gdy śniegi stopniały i step podeschnął, zaczynały się prace polowe. Staś zdobył gdzieś rosyjską książkę techniczną, dzięki niej posiadał umiejętność obsługi traktora, czym zaskarbił sobie uznanie miejscowych traktorzystów. Wkrótce już kierował traktorem, orał i siał. A poza tym wykonywał wiele innych prac w kołchozie.

Po długiej, ciężkiej zimie następowało bardzo upalne lato. Zboże szybko rosnęło, ale jeszcze szybciej plenił się piołun. Rozrastał się bujnie wśród wschodzącej pszenicy i w okresie jej wzrastania trzeba było trzykrotnie przeprowadzać pielenie. Łany zbóż były bardzo długie i szerokie. Kołchoźnice i my z nimi ustawialiśmy się na całą szerokość pola i idąc do przodu miałyśmy wrywać wszystkie krzaczki piołunu. Była to praca uciążliwa, wymagająca nieustannego schylania się, co dla miejscowych kobiet obciążonych nadmiarem obowiązków i w domu i w kołchozie, było ponad siły. Dlatego idąc przez łan pszenicy wrywały tylko co któryś piołun, a że potem mąka i chleb były gorzkie, tak gorzkie jak ich i nasza dola, tym się nikt nie przejmował. W czasie tej pracy często robiły przerwy, kładły się na ziemi i utrudzone zasypiały. Kilka z nich czuwało i wypatrywało, czy daleko na horyzoncie nie pokaże się jeździec na koniu. Wiadomo, że to albo brygadier, albo priedsiedatiel kołchozu. Wtedy zrywały się i znowu wrywały ten nieszczęsny piołun. Nieraz dochodziło do konfliktów między Polakami a kołchoźnikami. Myśmy nie umiały oszukiwać, tę ułomność przywoziliśmy ze sobą z Polski, a uczciwość w pracy była w tamtych warunkach niepożądana, bo wzbudzała u tubylców nieufność.

W kołchozie panował taki, nie wiem, zwyczaj, czy system, że mężczyźni sprawowali funkcje łatwiejsze, wymagające mniejszego wysiłku. Brygadier, priedsiedatiel, magazynier, rachmistrz, na tych stanowiskach pracowali mężczyźni. Natomiast do czarnej, najcięższej roboty były kobiety. A przecież jeszcze dzieci rodziły, karmiły i zajmowały się domem. Nikt ich nie oszczędzał. Następstwem tego były wyniszczające choroby, zwłaszcza kobiece. Nic więc dziwnego, że starały się ułatwiać sobie pracę. To była konieczność i samoobrona.

W upalnej pogodzie zboże bardzo szybko dojrzewało i w sierpniu już były żniwa. Wtedy mobilizowano całą wieś do pracy. Wówczas już nikt nie sabotował roboty, bo wszystkim zależało na zebraniu całych plonów. Raniutko wozami zaprzężonymi w woły odwożono kołchoźników, a z nimi i nas, Polaków, daleko w step na zbiór zboża. Praca trwała do wieczora. Była intensywna, tempo narzucały kombajny. Trzeba przyznać, że wtedy zarząd kołchozu dbał o robotników. W dużym kotle gotowano zupę bardzo smaczną i wzmacniającą, z mięsem, masłem i śmietaną. Porcje nie były wydzielane, można było jeść do syta. Dla tej zupy warto było ciężko pracować przy żniwach, bo w domu niedostatek coraz bardziej dawał się we znaki.

Na okres żniw w kołchozie organizowano żłóbek dla malutkich dzieci. Tam nazywało się to jasła. W czasie zaledwie kilkumiesięcznego pobytu w Dawidówce Mama nasza zdobyła sobie takie zaufanie i sympatię u miejscowych ko-

biet, że zażądały one od priedsiedatiela, ażeby w jasłach właśnie Ją zatrudnił. I tak się stało. Razem z Mamą pracowały tam jeszcze dwie starsze wiekiem kobiety. Mama, która wychowała ośmioro własnych dzieci, bardzo troskliwie opiekowała się powierzonymi Jej maleństwami. Doceniały to ich matki i każda chcąc się odwdziżyć, dawała co mogła: parę jajek, trochę sera, masła, mleka. Ważne też było, że praca w jasłach zwalniała od pracy na stepie, gdzie z nieba lał się straszny żar i nigdzie nie było cienia, który by dawał schronienie.

Warto opisać, jak wyglądały takie jasła, które z naszym pojęciem żłobków nie miały wiele wspólnego. Tylko idea była ta sama, warunki natomiast zupełnie inne. Była to izba w zwykłej chacie, gdzie jak wszędzie łąziło robactwo i mimo zaciemnionych okien pełno było much. Dzieci nie miały pieluszek, za pieluszki służyły im kawałki szmat wydarto ze starej odzieży. Prane w samej wodzie, bo mydło było tam rzadko pojawiającym się luksusem, nie pachniały czystością. W izbie panował zaduch i nieprzyjemny zapach. Wietrzyć można było tylko przez drzwi, bo okna w tamtejszych chatkach tak były robione, że nie można ich było otwierać.

Zaraz po sprzęcie zboża przeprowadzano czyszczenie pszenicy, przede wszystkim z nasion piołunu. Praca odbywała się w nocy. Na step szłyśmy wieczorem i pracowałyśmy kilka godzin, chyba do trzeciej nad ranem. Robotą tą wymagała naprawdę dużego wysiłku. Pracowałyśmy we trójkę, trzy młode Polki: Cesia, Kostka i ja, wśród nich najmłodsza. Jedna kręciła korbą wialni, druga wsypywała do wialni zboże, trzecia drewnianą łopatą odrzucała na stertę już oczyszczoną pszenicę. Pierwsza i druga czynność wymagały największego wysiłku. Pamiętam, jak przy kręceniu korbą, co uruchamiało wszystkie czynności wialni, serce podchodziło do gardła i nie mogłam często tchu złapać. Równie trudno było wsypywać zboże. Samo wiadro, zrobione z żelaznej blachy, było ciężkie, a wypełnione ziarnem stanowiło ogromny ciężar. Trzeba to było unieść wysoko i od góry wsypać do wialni. Zmieniałyśmy się przy tych czynnościach, ale i tak był to wysiłek dla nas zbyt duży. Miałam wtedy piętnaście lat, Cesia i Kostka były niewiele starsze.

W czasie pracy obserwowaliśmy niebo, jak zawsze w sierpniu pięknie obsypane gwiazdami. Gdy w pobliżu Wielkiego Wozu pokazała się jasno świecąca gwiazda, którą nazywałyśmy Gwiazdą Zaranną, wiedziałyśmy, że północ minęła i wkrótce pójdziemy odpocząć. Śpiewałyśmy wtedy pieśń do Matki Boskiej:

*Gwiazdo Zaranna, śliczna Jutrzenko,
Niepokalana Mario Panienko,
Bez pierworodnej zmyy poczęta
Módl się za nami Panienko Święta.
Ty, co jak słońce w niebie jaśniejesz
I nam w ciemnościach swym światłem siejesz,
Rozpędź te burze, groźne nawały,
By serca nasze w cnocie wytrwały.*

Zawsze przez wszystkie lata, gdy organista w kościele zaintonuje tę pieśń, staje mi przed oczami taki obraz: noc, dookoła czarny step i tylko mała latarenka zawieszona na kiju wbitym w ziemię oświetla miejsce pracy trzech utrudzonych polskich dziewcząt.

Później, już we wrześniu, przychodził czas zbioru ziemniaków. Odbywało się to już przy gorszej pogodzie, zimnej, często deszczowej. Potem w kołchozie sortowano ziemniaki. Te najładniejsze oddawało się państwu w ramach obowiązkowych dostaw, gorsze zostawiało się dla ludzi i zwierząt. Kołchoźnicy mieli w zasadzie kartofle z własnych przyza-

grodowych działek, ale nie zawsze starczały im na cały rok. Ziemia tam rodziła pszenicę dość marną, ale ziemniaki piękne, duże i zdrowe. Zatrudniano nas przy zbieraniu i sortowaniu ich. Do przenoszenia służyły duże skrzynie. Zrobione były z grubych desek, okucia i uchwyty z żelaza. Same skrzynie były bardzo ciężkie, a po wypełnieniu ziemniakami dwie osoby z trudem je niosły.

Nikt tam nie troszczył się o to, by ludziom ulżyć w pracy, robić lżejsze narzędzia. Wszystko było bardzo masywne, ciężkie, toporne.

Nie mogę sobie przypomnieć, a i w listach naszych nie znajduję, w jaki sposób i kiedy odbywał się zbiór słoneczników. Widocznie przy tym nas nie zatrudniano i dlatego pamięć moja tego nie przechowała. A słoneczników rosło tam dużo na rozległych łąkach i był to jedyny kolorowy akcent na szarym stepie.

Szybko zbliżała się zima, która według opowiadań mieszkańców, jak zawsze miała być długa i ostra. Co zresztą okazało się prawdą. A myśmy nie byli do niej przygotowani. W każdym liście Mamy z tego okresu jest niepokój i troska, że nie mamy odpowiedniego obuwia, ciepłej odzieży, opału i pewnie zimy nie przetrwamy.

W lecie do palenia używano piołunu, który wysuszony przez stepowe wiatry, był doskonałym opałem w kuchni. W zimie do ogrzewania chat stosowano kiziak. Jest to nawóz zwierzęcy wymieszany ze słomą i wysuszony na słońcu. Pali się jak węgiel i daje dużo ciepła. W życiu tamtych ludzi był bardzo ważny i cenny, bo na równi z żywnością decydował o przetrwaniu ciężkiej zimy. Dlatego każdy przez cały rok zbierał skrzętnie i gromadził ten skarb. Myśmy bydlę nie mieli, więc i kiziaku byliśmy pozbawieni. Za radą gospodarza Staś jeździł daleko w step, gdzie było wyschnięte jezioro zarośnięte wikliną. Tam całymi dniami ścinał cienkie gałązki i przywoził je do domu. Po wielu dniach takiej pracy duża szopa była zapełniona. Mama cieszyła się i przynajmniej ta troska Jej odpadła. Ale wiklina pali się podobnie jak piołun, szybko i nie zostawia żaru. Oczywiście na całą zimę nie starczyło. Pod koniec jej trwania paliło się w piecu już tylko co drugi dzień, a na dworze mróz dochodził do pięćdziesięciu stopni.

Dzięki paczkom od rodziny i znajomych życzliwych ludzi mieliśmy trochę ciepłych rzeczy, a najcenniejsze było futro przesłane przez wujcia Czesia. Długie, obszerne i bardzo ciepłe. Ale z obuwiem było tragicznie. Tam w zimie odpowiednim obuwem były tylko walonki, wysokie buty z prasowanej wełny owczej. Ze względu na cenę były dla nas niedostępne. A polskie buciki w tamtych warunkach nóg nie chroniły. Doświadczył tego Staś, który w swoich narciarskich butach poszedł do roboty i odmroził duży palec u nogi. Sprawa wyglądała bardzo źle, bo palec zropiał do kości. Gospodarz mówił, że takie rany najlepiej leczy żółć wołowa przykładana na lnianej szmatce. Czekaliśmy więc na tę żółć. Wreszcie pewnego dnia krowa w kołchozie zachorowała i trzeba było ją dobić. Prawdopodobnie ktoś z kołchoźników spowodował to zachorowanie, bo we wsi już robiło się głodno, a zdrowej krowy nie wolno było zabić. Gospodarz nasz, jak obiecał, przyniósł trochę żółci, robił okłady na lnianej szmatce i palec wyleczył.

Opowiadano nam o zdarzających się tam śnieżycach, nazywanych buranami, które są zjawiskiem bardzo groźnym. Przekonaliśmy się o tym, Staś i ja, w wieczór sylwestrowy 1940 roku. Za oknem padał gęsty śnieg, więc idąc na noc do drugich gospodarzy, na szczęście nie wzięliśmy ze sobą Lali. Gdy tylko wyszliśmy z chaty uderzyła w nas jakby

ściana śniegu. Charakterystyczne dla buranu jest to, że wiatr, a jest to silny wiatr, wieje jak gdyby ze wszystkich stron i człowiek natychmiast traci orientację. Szliśmy trzymając się za ręce. Chcieliśmy wrócić, ale już zgubiliśmy wyczucie kierunku. Szliśmy zmagając się z wiatrem, nie wiedząc dokąd i czym się to skończy. Ogarnęto nas przerażenie, bo wiedzieliśmy, że w buranie człowiek idzie, aż pada w śnieg i zamarza. Można też było natknąć się na wilka, bo one również traciły orientację i bywało, że przypadkowo trafiały w pobliże domów. Nagle uderzyłam o coś głową. Badając dotykem stwierdziliśmy, że jest to dach jakiejś chaty. Trzymając się ściany, doszliśmy do drzwi. Okazało się, że przypadkowo trafiliśmy do właściwego domu. Gospodarze nie oczekiwali nas, nie przypuszczali, że w taką pogodę przyjdziemy.

Następny dzień wstał piękny, słoneczny i bardzo mroźny. I tylko chaty zasypane śniegiem aż po dach świadczyły o tym, że w nocy przeszedł tędy buran.

Był pierwszy dzień 1941 roku. Wierzyliśmy, że będzie lepszy od poprzedniego, a tymczasem okazał się trudniejszy, choć dał większe nadzieje na odmianę losu.

Jak wspomniałam, buran zasypywał chaty po same dachy. Wewnątrz było ciemno, bo za oknami stała ściana śniegu. Drzwi też nie można było otworzyć. Trzeba było spokojnie czekać, aż przyjdzie ktoś i odkopie. Tu solidarność była pewna. Najpierw ktoś, przeważnie stróż nocny z kołchozu, odkopywał drzwi jednej chaty. Stamtąd wychodzili ludzie i odkopywali następne i tak kolejno, aż dojście do wszystkich domów stało się dostępne. Wtedy każdy kopał tunele do swoich okien. I tak się żyło do następnego buranu, a w czasie zimy zdarzało się ich kilka.

Staś z powodu odmrożonego palca u nogi przesiedział dużą część zimy w chałupie, a obowiązek zaopatrywania rodziny w wodę spadł na mnie. We wsi były dwie studnie. Jedna płytką i ta zamarzała bardzo szybko. Korzystano więc tylko z drugiej, położonej na niewielkim pagórku i dzięki temu głębszej. Przy silnych mrozach, nawet przy tej głębokości, na rano na dnie zamiast wody była tafła lodu. Najpierw łomem trzeba było odrąbać lód na obrzeżach studni, a żeby wiadro móc do niej upuścić. Udezrając wiadrem, ciężkim, z żelaznej blachy, czasami udawało się rozbić lód na dnie. Gdy to nie pomogło, wrzucało się do studni płonące wiązki słomy, aż lód się stopił. Wtedy dopiero można było czerpać wodę.

Zima zaczynała się w październiku, w 1940 roku pierwszy śnieg spadł 5 października, a kończyła się na przełomie kwietnia i maja. Nagle pojawiał się bardzo ciepły wiatr i ogromne masy śniegu pokrywające stepy grubą warstwą, szybko obniżały się i po kilku dniach znikwały. Ziemia robiła się rozmokła, jak rzadkie masło. Step stawał się niedostępny, ze wsi nie można się było wydostać. Trwało to krótko. Wiatr szybko osuszał ziemię i zaczynała się wiosna.

Ciekawe było na stepie zjawisko fatamorgana. Występowało ono rano, kiedy powietrze było jeszcze nie nagrzane słońcem. W niedużym oddaleniu widoczny był las, a w rzeczywistości był to niewielki brzoźowy lasek położony 40 kilometrów od Dawidówki. Dookoła wsie, zdawało się że w pobliżu, a naprawdę były one rozrzucone daleko. Czasem powietrze nagrzewając się tak falowało, że dawało to złudzenie płynącej blisko rzeki. Ale niestety, nie było tam ani lasu, ani rzeki, tylko bezkresne, gołe, melancholijne stepy.

Tak upłynął pierwszy rok naszego pobytu na zesłaniu. Okres ten mam dobrze udokumentowany w zachowanych listach pisanych do rodziny w Kraju. Przeglądam je czasami. Tyle w nich smutku, tęsknoty, niekiedy rozpacz. Tyle

niepewności jutra, obawy, czy i jak przeżyjemy następny dzień. Tyle zmartwienia i lęku, gdy ktoś z nas zachoruje. Ale jest i radość, gdy przyjdzie paczka od bliskich lub znajomych, a dostawaliśmy tych paczek sporo. Dostarczały one żywności, odzieży, lekarstw i były dla nas ogromną pomocą. Zdarzało się, że jakaś paczka lub przekaz pieniężny nie dotarły, ale trzeba przyznać, że nie były to częste przypadki.

Wśród przychodzących listów najbardziej wyczekiwane były te od Ojca. Na początku przysły dwa, może trzy, a potem zaległa cisza. Niepokój narastał. Mama w każdym liście do rodziny pytała o Ojca. Pisała, że to przecież niemożliwe, ażeby nie zatroszczył się o to jak żyjemy i czy w ogóle żyjemy. Wiedziała, że stało się coś bardzo złego, ale na Jej natarczywe pytania nie było odpowiedzi. Na ten temat rodzina milczała. I dopiero po dziesięciu miesiącach pewnego dnia deduszka (tak nazywaliśmy miejscowego listonosza) przywiózł Mamie ten najbardziej oczekiwany list, zaadresowany równym, drobnym pismem, które poznała od razu. Był to list od Ojca. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się prawdy.

Ojciec aresztowany wkrótce po naszym wysiedleniu, został osadzony w więzieniu w Stanisławowie. Spędził tam dziesięć miesięcy. Dziesięć długich miesięcy w śledztwie w sowieckim więzieniu. Nie pisał o tym, co przeszedł. Od wielu lat zbieram skrzętnie informacje o cierpieniach Ojca, ale udało mi się zdobyć tylko drobne szczegóły, jakieś okrucy, a to za mało, ażeby odtworzyć to wszystko, co przeżył.

Pisze: „Niezmiennie się cieszę, że Nusia będzie studiowała. Martwię się tylko Stasiem i Niną, co z nimi będzie? Przecież nie mogą się zmarnować w kołchozie. Szkoda ich nauki. Tu do szkoły chodzić nie mogą. Pisali mi znajomi ze Stanisławowa, że Stasia starsi koledzy zapisali się na studia. Inne dzieci uczą się, a moje tak się tu marnują. Naprawdę, że rozpacz mnie ogarnia na myśl, jaka ich przyszłość czeka. Staś to samo przeżywa, chodzi smutny i zmartwiony. Życie tu takie jednostajne, ciągle tylko praca bez najmniejszego urozmaicenia. Ani żadnych książek, ani radia”.

Czasem w listach wspomina szczęśliwe życie w naszym domu i wtedy taki straszny żal wyziera z Jej słów. Nie narzeka, ale niekiedy wyrwie się skarga: „Za co mnie to spotkało? Całe życie swoje oddałam dzieciom, świata poza nimi nie widziałam”.

W którymś liście piszę, że Mamusia trzyma się dzielnie, ale wieczorami, gdy już położy się do łóżka, słyszę jak płacze.

Siostry Renię i Lalę Mama posłała do miejscowej szkoły, bo nie miały czym w domu się zająć. Do ich obowiązków należało przynoszenie piołunu ze stepu, ale to im nie wypełniało całego dnia. Chodziły z kąta w kąt i z nudów głupiały. W szkole brylowały, co nie było niczym nadzwyczajnym, ponieważ ich poziom umysłowy znacznie przewyższał poziom pani nauczycielki. Na koniec roku dostały „pochwalnyje gramoty” (dyplomy uznania), które niestety nie dojechały do Polski, bo gdzieś po drodze Mamie zaginęły. A Krzysia była jeszcze mała, trzymała się Mamusi, ciągle była smutna, bo bardzo tęskniła za tatusem.

Renia pisze w liście: „Wczoraj były moje imieniny i dostałam od cioci Janki dwie kostki cukru”. W innym Lala pyta, co Martusi przyniósł św. Mikołaj, bo Krzysia dostała miseczkę mąki.

I tak mijały nam dni wypełnione pracą i zdobywaniem żywności. Pisałam w liście, że pilnie pracujemy, bo jak nie pójdzie się do roboty, to przychodzą do domu i robią awanturę. Oprócz obowiązkowych zajęć w domu i w kołchozie, robiłam szydełkiem koronki, które kupowały u mnie miej-

scowe kobiety. Chodziłam do odkopywania ziemniaków na działkach u kołchoźników. Płacono za tę pracę żywnością i, co ważne, od razu.

Gdy robiło się głodno, Mama udawała się do przedsiębiorcy kołchozu i nieraz wyprosiła trochę mąki lub kartofli jako zaliczkę za wypracowane trudności. Dźwigała sama na plecach ciężki worek, bo bała się, że jak pójdzie do Stasia, ażeby przyniósł to co wyprosiła, przedsiębiorca się rozmyśli i odmówi.

Mama była lubiana przez miejscowych ludzi. Odnosiła się do Niej z szacunkiem i sympatią. Nie miała z nikim nieporozumień, zawsze grzeczna, spokojna. Gdzie mogła, pomagała ludziom.

Gdy któraś kobieta rodziła i w następstwie występował krwotok, zaraz posyłano do Mamy po cukier. Oni nie mieli, a myśmy mieli z paczek. Nigdy nie zjadaliśmy go do końca, zawsze Mama zostawiała zapas właśnie dla chorych. Nie wiem, czy cukier leczył krwotoki, może po prostu wzmacniał organizm.

Gdy nasza gospodyni zachorowała na tyfus brzuszny, chorą opiekowała się nasza Mama, bo cała rodzina szła do pracy. Robiła przy niej wszystkie pielęgnacyjne posługi, nawet te najbrudniejsze.

Na nasze protesty wynikające z niepokoju o Jej zdrowie, zawsze odpowiadała: „To chrześcijański obowiązek”. Może też gdzieś tam w głębi serca tliła się nadzieja, że w ten sposób zasłuży u Boga na wysłuchanie Jej żarliwych modlitw. Zawsze tak bardzo prosiła o opiekę nad swoimi dziećmi; i tymi, co z Nią były i tymi, co w Kraju zostały. Chodziła nieraz daleko w step, gdzie była tylko Ona, nad Nią niebo i Bóg na niebie. I wołała głośno do Boga, aby Jej dzieci ocalił. I wysłuchał, ocalił, choć potem jeszcze bardziej rozproszyły się po świecie i przetaczały się nad nimi wojenne burze.

Przyszedł dzień 22 czerwca 1941 roku. Wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Dla nas oznaczało to przerwanie łączności z rodziną, brak wiadomości i ustanie pomocy w postaci paczek. Zostaliśmy zdani wyłącznie na własne siły. Siły coraz słabsze.

Zaczęły występować objawy niedożywienia w postaci owrzodzeń i wyraźnego ubytku sił. Z zaopatrzeniem w żywność zrobiło się ciężko, bo władze wszystko zabierały dla wojska. Całe życie podporządkowano hasłu „Wsio dla fronta”.

W tym czasie musieliśmy opuścić naszą dotychczasową kwatere, bo tam zrobiło się za ciasno, ale już nie pamiętam z jakiego powodu. Może wrócił mąż gospodyni. Był Niemcem, a Niemców do wojska nie brano. Mobilizowano ich do tzw. trudarmii (bataliony pracy), ale w Dawidówce nastąpiło to dopiero w rok później. Ludzie bali się trudarmii bardziej niż służby frontowej. Tam warunki pracy były takie, że stamtąd na ogół się nie wracało. Tam człowiek pracował aż do wykończenia.

A więc opuściliśmy dom Gresów i przenieśliśmy się do szkoły, gdzie Mama dostała pracę uborczyca (sprzątaczką). Ale tę pracę nie Mama wykonywała, ja to robiłam. Raz na tydzień podłogi, a ściślej klepiska, smarowałam gliną wymieszaną z krowim łajnem (estetów przepraszam za tak brzydkie słowo). Wszystkie gospodynie tak robiły, bo ten dodatek do gliny zapobiegał jej pękaniu i kruszeniu się. Zamieszkaliśmy wszyscy razem w dwóch małych komórkach przy szkole, w których przedtem trzymano kiziak. Robactwa tam było jeszcze więcej. zanim wniosło się miski z jedzeniem, Staś robił na ścianach pogrom i dopiero wtedy

mogliśmy się zabrać do jedzenia bez obawy, że stonogi i szczypawki będą nam wpadać do zupy. Ale mimo dokładnie wykonanej egzekucji, na ścianach pokazywały się pojedyncze sztuki. Wtedy Renia wołała: – O, Stasiu, lizie! – co jego doprowadzało do pasji i grzmiat: – Jak ja ci zaraz polizę! Kiedy ty się nauczysz, że mówi się lezie?

On miał już tak bardzo dość tej nędzy, tego straszego prymitywu, poniżenia i wyniszczenia. Była to już prawdziwa degradacja cywilizacyjna, materialna i społeczna. Jeszcze buntowaliśmy się, jeszcze walczyliśmy, ale najczęściej przegrywaliśmy w konfrontacji z bezwzględną rzeczywistością. A to jeszcze nie było najgorsze, to dopiero miało przyjść: druga zima i autentyczny głód.

Kiedyś Mama ciężko zachorowała. Może to było zapalenie oskrzeli, może nawet zapalenie płuc, nie wiadomo. Tam przecież nie było ani lekarza, ani żadnych lekarstw. Jak człowiek przetrzyma, to dobrze, jak nie, to trudno. W pewnej chwili wystąpiła u Mamy silna duszność, po prostu dusiła się. Nagle poderwała się i wyciągnęła ręce w kierunku małego okienka, jedyne jakie było w komórce, jakby chciała stamtąd zaczerpnąć powietrza. Czowała, że umiera i chciała cioci Jance powierzyć dzieci, ale już nie mogła mówić. Staliśmy przy Niej przerażeni i zupełnie bezradni. Męczyła się. Po jakimś czasie duszność zaczęła powoli ustępować.

Drugi raz to samo powtórzyło się w Kunstanaju i też w czasie ciężkiej choroby. Biegłam w nocy przez puste miasto do Janki, która była na dyżurze w domu dziecka. Biegłam po lekarstwo, dostałam je i mogłam Mamie ulżyć. Myślę, że były to ciężkie ataki astmy, pierwsze zwiastuny tej choroby, bo po kilku latach rozwinęła się u Mamy już regularna astma.

Od początku naszego pobytu w Dawidówce przyjeżdżali tam enkawudowcy i wzywali dorosłych Polaków na przesłuchania. Odbywało się to, jak zawsze u nich, w nocy. Pytali w kółko o to samo, a więc przede wszystkim o mężów: imię, otcziestwo, nazwisko, zawód, gdzie pracowali przed wojną, gdzie są teraz? Po co to robili, nikt nie wiedział. Może celem było podtrzymanie atmosfery strachu i niepewności.

Któregoś dnia przyjechali w dzień, zabierać młodych Polaków do budowy linii kolejowej. Staś, gdy się o tym dowiedział, wpadł do naszej komórki i kazał mi się położyć do łóżka. Enkawudowcom powiedział, że siostra jest ciężko chora i leży z wysoką gorączką. Uwierzyli widocznie, bo mnie zwolnili. Zwolnili też Cesię Sobczak, ponieważ była jedyną opiekunką swojej sparaliżowanej matki i nieletniego brata. Pojechali Staś, Kostka i Siacho (Stanisław) Skowroński.

Z moim zdrowiem było coraz gorzej. Na całym ciele, a szczególnie na nogach i rękach, tworzyły się rozległe ropiejące rany. Nogi miałam bardzo opuchnięte, chodzenie sprawiało ból. Wtedy właśnie trafiło mi się okopywanie ziemniaków na prywatnej działce. Nie mogłam takiej propozycji nie przyjąć. Praca ta zapewniała zapłatę w produktach żywnościowych, a w domu było głodno. Stasia nie było, więc na mnie spadły większe obowiązki. Musiałam Mamie pomóc. Nogi od stóp do kolan owijałam bandażami, zrobionymi z jakichś szmat i stąpając powoli, szłam do roboty. Stałam w miejscu i dookoła siebie okopywałam ziemię tak daleko, jak sięgała motyka trzymana w wyciągniętej ręce. Potem bardzo ostrożnie, zaciskając zęby z bólu, przesuwiałam się dalej. I tak aż do okopania całej działki. Zawsze dostawałam dobry obiad i po południu wracałam do domu. Powrotna droga, to była cierniowa droga. Bandaże nasiąknięte ropą wymieszaną z ziemią przyklejały się do ran, nogi bardzo spuchnięte. Szłam sunąc nimi, ażeby zmniejszać ból. A był to straszny

ból. W domu Mamusia przygotowywała mi wiadro ciepłej wody, do której wrzucała kilka kryształków nadmanganianu potasu, jeszcze z paczek. Wkładałam do tego nogi i dopiero, gdy to wszystko odmokło, mogłam ściągnąć bandaże. Po dokładnym umyciu ran kładłam się, ażeby dać nogom wypocząć, a następnego dnia znowu do roboty.

Z czasem mnie i Cesię także zabrano do przymusowej pracy, do Pieszkowki. Przedsiębiorstwo nazywało się Sienopunkt, a produkowano tam duże kostki prasowanego siana i wysyłano je dla wojska.

Pod stogiem ustawiano maszynę poruszaną silnikiem spalinowym, do niej wrzucano siano, maszyna je sprasowywała, cięła na duże kostki, wiązała drutem i wyrzucała na wagę. Była określona minimalna waga takiej kostki. Jeśli okazała się niższa od wymaganej, trzeba było drut przeciąć i siano ponownie wrzucić do maszyny. Oczywiście przerób był wtedy mniejszy. Oprócz nas pracowało tam kilka Rosjanek. Były to silne, a przede wszystkim starsze od nas kobiety, przyzwyczajone do pracy fizycznej. Myśmy były za słabe do takiej roboty. Mimo najlepszych chęci podawałyśmy do maszyny za mało siana, które przedtem trzeba było widłami wrywać z ubitego stogu. Brygadzista szalał, krzyczał, groził, że odda nas pod sąd za sabotowanie produkcji dla wojska. Że do więzienia pójdziemy. Bałam się, naprawdę się bałam i sądu i więzienia, bardzo się starałam, ale nic z tego nie wychodziło. Serce waliło mi w gardle, z wysiłku nie mogłam oddychać. A kobiety rosyjskie patrzyły na moje owrządzone ciało i mówiły: – To cynga.

Wreszcie brygadier zrozumiał, że żadne groźby nie pomogą, że my naprawdę nie możemy podołać tej pracy i z Dawidówki ściągnęli młodego Niemca imieniem Wania, którego niedawno ewakuowano z Ukrainy razem z młodszą żoną Katią. Była to bardzo sympatyczna i urodziwa para. Wania był silny, więc pracował i za siebie i nam pomagał. Mimo to po kilku godzinach takiej pracy wracaliśmy na kwaterę bardzo zmęczone. Pamiętam, jak umyta już kładłam się na łóżku z nogami ułożonymi wyżej, ażeby zmniejszyć obrzęki i nie miałam siły się ruszyć.

Pewnego dnia przyszło wyzwolenie od tej ciężkiej roboty. Dieduszka przywiózł mi list od Mamy, w którym donosiła o zawartym porozumieniu Generała Sikorskiego z rządem sowieckim. Napisała, ażebyśmy zostawiły pracę, poszły na milicję, gdzie dostaniemy polski dokument zamiast sowieckiego paszportu. Nie mogłyśmy uwierzyć w takie szczęście. Zrobiliśmy, jak Mama nam poleciła, po czy wróciłyśmy do Dawidówki, do naszych Matek.

Wkrótce Staś wrócił, Kostka i Siacho. Nikt ich z pracy nie zwolnił. Gdy dowiedzieli się o porozumieniu polsko-sowieckim i w wyniku tego objęciu amnestią polskich zesłańców, po prostu zostawili wszystko i wyjechali. Staś wrócił wynędzniały, wychudzony, obszarpany. Na skutki takiego wyniszczenia nie trzeba było długo czekać. Po jakimś czasie ciężko zachorował. Przypadkowo do wsi przyjechała felczerka. Mama uprosiła ją, by Stasia zbadała. Wysłuchiła zapalenie płuc, ale nic pomóc nie mogła, bo nie miała żadnych lekarstw. Chorował długo i bardzo ciężko. Mama płakała nad nim, a on uspokajał ją, że bez spowiedzi nie umrze, bo ma dziewięć pierwszych piątków miesiąca.

Był to czas żniw i całą wieś mobilizowano do sprzętu zboża. Woły wiozły nas daleko w step i tam pracowaliśmy niemal że od świtu do wieczora. Ale ja cały czas myślałam o Stasiu, byłam pełna lęku i gdy zobaczyłam, że od strony wsi ktoś nadjeżdża, serce mi zamierało, bo byłam pewna, że to po mnie, z tą najgorszą wiadomością.

Ale wygrzebał się z tej choroby, pewnie znowu dzięki gorącym modlitwom Mamy. Jednak długo nie mógł odzyskać sił, bo jak sobie przypominam, do pracy nie chodził.

Na wieść, że tworzy się polska armia, razem z Siachem Skowrońskim, wysłali swoje zgłoszenia do polskich władz. Bardzo szybko dostali odpowiedź, żeby wstrzymali się z wyjazdem, żeby czekali na wezwanie. Ze wszystkich stron Związku Radzieckiego zjeżdżali się polscy zesłańcy i więźniowie do miejsc formowania wojska. Władze polskie nie były w stanie opanować organizacyjnie licznie napływających ochotników. Warunki były trudne, zaczęły się szerzyć choroby. A więc czekali i dopiero w marcu dostali wezwania.

W tym czasie do Dawidówki przyjechały dwie rodziny ewakuowane z Moskwy. Dwie, jakże różne. Jedna to była rodzina robotnicza, o nazwisku Kułagin. Mama z dziesięciorgiem dzieci, sami synowie. Po jakimś czasie przyjechał ojciec. Obywatelka Kułagina rozaczała przed naszą Mamą uroki i zalety życia w komunizmie. Przekonywała, że własne mieszkanie, jak to w Polsce jest, to tylko kłopot i bezstanna troska. U nich jest lepiej. Oni mieszkają w obszczytym należącym do fabryki, w której pracują. A gdy zmieniają pracę, rzeczy pakują w czemodan (walizkę), wsiadają w tramwaj i jadą „na druguju kwartiru”. Jak łatwo można ludzi otumanić i pozbawić ich wszelkich aspiracji. Wystarczy odizolować od świata.

Druga rodzina była inteligencka, Liza z kilkuletnią śliczną córeczką o imieniu Lenka. Młodsze dziecko razem z domem dziecka, w którym wychowywało się, ewakuowane było w głąb Związku Radzieckiego. Trzecie urodziło się w Dawidówce. Tak więc Liza była matką trojga dzieci, każde miało innego ojca, a Liza męża nigdy nie miała. Żyła nieźle, bo ojcowie, wszyscy w wojsku na wyższych stanowiskach, słali alimenty. Priedsiedatielowi kołchozu oświadczyła, że jest inteligentką i fizycznie pracować nie będzie. A jako ewakuowanej z Moskwy, kołchoz ma obowiązek zapewnić jej utrzymanie. Priedsiedatiel złościł się, ale dawał. Liza tylko z Polakami utrzymywała kontakty towarzyskie, a o rodzinie Kułaginych mówiła nam: – Nie myślcie, że to prawdziwa Moskwa, to hołota.

W szkole uczyła młoda nauczycielka, Marusia. Codziennie dojeżdżała z sąsiedniej wsi. Jej chłopak, Alosza, był na froncie i Marusia bardzo za nim tęskniła i bała się o niego. Pewnego dnia przyszła do szkoły uradowana. Jej Alosza dostał kilka dni urlopu i przyjechał. Ale to nie wszystko. Alosza na froncie dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu, za to został awansowany do stopnia oficerskiego, odznaczono go orderami i jeszcze nagrodzono urlopem. Marusia promieniała szczęściem i była bardzo dumna ze swojego chłopaka wyrzucając sobie, że go dotąd nie doceniała. Ale po kilku dniach Marusia przyszła do pracy cała we łzach. Nie chciała nic powiedzieć, tylko zanosila się płaczem. Wreszcie na uporczywe pytania naszej mamy wyznała, że Alosza okłamał ją. Gdy był na froncie, tam z zabitego oficera ściągnął mundur razem z odznaczeniami i tak wystrojony przyjechał do swojej wioski, do Marusi. Gdy w jego jednostce zorientowano się co chłopak zrobił, zawiadomiono NKWD. Poszukiwania zaczęto od jego wsi. Kiedy Alosza dowiedział się o tym, porwał z kołchozu konia i pognał. Ale gdzie można się ukryć na bezkresnym gołym stepie? Szybko go złapali. Co z nim zrobili, nie wiadomo. To tylko pewne, że Marusia swojego bohatera już nigdy nie ujrziała.

Czas płynął, zaczęły się jesienne deszcze i chłody i lada dzień mógł spaść śnieg. Nasze komórki nie miały żadnego pieca, żadnych możliwości ogrzewania. Kierownik szkoły

wydzielił więc część kancelarii, która była dość dużym pomieszaniem i tam zamieszkaliśmy.

Robiło się nie tylko chłodno, robiło się też głodno. I nie tylko u Polaków, ale i wśród miejscowej ludności. W rodzinach, gdzie było więcej dorosłych, a więc pracujących, tam jeszcze były jakieś zapasy z poprzednich lat. Ale gdzie byli tylko rodzice z małutkimi dziećmi, zapasów nie było. A kołchoz w tym roku za pracę nic nie dawał, bo wszystko zabierano dla wojska. Podstawą żywienia miały więc być ziemniaki z przyzagrodowych działek, mleko od własnej krowy i jajka od własnych kur. A wiadomo, że w zimie te zwierzęta mało produkują.

U priedsiedatiela coraz trudniej było coś wyprosić za naszą pracę, pozostawała więc tylko wymiana rzeczy na żywność. Ale i tych rzeczy było coraz mniej i mniej chętnych do takich transakcji, bo ludzie nie mieli czym płacić.

Pamiętam, że w tym czasie bardzo nam dokuczał brak soli. Sól można było dostać tylko u Kazachów, którzy przyjeżdżali na wielbłądach. Ale tylko na wymianę, szklanka soli za szklanekę masła. A myśmy masła nie mieli ani żadnego tłuszczu. Gdy więc zdobyło się gdzieś trochę soli, to w słonej wodzie gotowało się kilka razy kluski czy ziemniaki tak długo, aż woda całkiem zgęstniała i nie nadawała się do dalszego gotowania. Staś tylko na to czekał. Wybierał do swojej miski całą wodę, czy raczej gęstą zawiesinę i zjadał. W ten sposób raz na kilka dni zjadł do syta. Boże, jaki on był ciągle głodny! Nie dość, że jedliśmy coraz mniej, że jedliśmy bez tłuszczu, bez mleka, to jeszcze i bez soli. A coś takiego jak cukier, herbata, kasza, mięso, to były wspomnienia z odległej przeszłości i już nawet w sferze marzeń nie pojawiały się. Chleb też bardzo rzadko bywał na naszym stole.

Zima zaczęła się na dobre i znowu wioskę zasypały śniegi i skuły silne mrozy. Tej zimy baliśmy się bardziej niż poprzedniej, bo zagrożenie prawdziwym głodem stawało się coraz bardziej realne, a na pomoc znikąd nie było widoków.

Dochodziły do nas wieści o powstaniu Delegatury Polskiej w Kustanaju, o napływających tam darach amerykańskich, ale myśmy byli od tego daleko. Wierzyliśmy, że pomoc nadejdzie, ale czy nie za późno?

Ten okres przechował mi się w pamięci jako czas straszego przygnębienia. mama zboleła, a rozpaczą patrzyła na swoje dzieci, czy przetrzymają? Staś wiecznie głodny i słaby. Renia całymi dniami siedziała pod piecem i nie można było jej nakłonić do żadnej aktywności. Twarz jej był obręklą, a skóra twarzy miała zabarwienie niebieskawe i tak wyglądała, jakby pod nią nie było kropli krwi, tylko woda. Ja byłam obsypana ropiejącymi ranami i często gorączkowałam. Krzysia zawsze cicha, małowówna, tuliła swoją wyłusianą lęką i nie rzucała się w oczy. Z nas wszystkich najlepiej trzymała się Lala. Nie siedziała w domu. Ciepło się ubierała, pozawijała się w jakieś łachy i goniła po wsi. Zaglądała do chat, rozmawiała z ludźmi. Czasem kobietom pomogła w pracach domowych, a gdy dostała za to kawałek chleba, nigdy go sama nie zjadła. Chowała za pazuchę, przynosiła do domu i dzieliła się z nami. Zdarzały się okresy, kiedy jedynym naszym posiłkiem były zmarznięte kartofle. Nie mogłam znieść odgłosu wsypywania ich do blaszanego wiadra, do dzisiaj słyszę ten stukot. Mama zalewała je gorącą wodą, żeby umyć ze zmarzniętej ziemi i dopiero wtedy można było je gotować. Oczywiście w łupinach. Smak miały okropny i bardzo piekły w gardle. To już był prawdziwy głód.

(c.d.n.)

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Kościół parafialny św. Anny

ks. Lesław Jezowski

Nie wiem dokładnie kiedy on został zbudowany. Prawdopodobnie w XIX w. na miejscu drewnianego, przeniesionego do nieodległych Oknjan. Nie posiadał określonego stylu. Zwykło się określać taką bezstylową formę budownictwa jako styl „józefiński”, bo za panowania cesarza austriackiego Józefa II, zwanego „zakrystianem”, na jego życzenie tak budowano kościoły. Dwie symetrycznie od głównego wejścia umieszczone graniaste wieże pokrywały dosyć nieforemne, nieudane blaszane hełmy. Duże okno nad bramą oświetlało chór. W północnej wieży znajdowały się cztery dzwony: Andrzej o wadze 450 kg, Anna, ufundowany przez parafian – 260 kg, Franciszek, fundacji Franciszka Tuzinkiewicza i Edward, dar ks. Edwarda Tabaczkowskiego, miejscowego proboszcza, ważący 50 kg.

Poruszane były ręcznie za pomocą sznurów zwisających przez otwory w suficie nad klatką schodową wieży. W dni powszednie, gdy nikt nie umarł, odzywał się jeden z nich, mniejszy.

Kruchtë od naw oddzielały oszkolne, potrójne drzwi. W głównej nawie po jej obydwóch stronach stały rzędy ławek. Prezentowały się dosyć marnie, na ogół z miękkiego drewna, niejednolite w wykonaniu i barwie. Jedynie pierwsza ławka od ołtarza, pod amboną, zamykana na boczne drzwiczki, sporządzona była z twardych, ciemnych desek i nazywała się kolatorską. W niej, jak zaznaczyłem, zasiadała p. Dolajsowa i zaproszeni przez nią goście. Naprzeciw, po prawej stronie nawy, w skromniejszej ławce siedziały Siostry de Notre Dame, Służebniczki lokowały się za ławką kolatorską.

Nawę oświetlały dwa różne żyrandole. Jeden, bliższy ołtarza, przypominał kryształowy pajak, a może był nim rzeczywiście, drugi, od strony wejścia, był raczej dużą lampą z wieloma żarówkami osłoniętymi szklanymi abażurami.

Na ambonę, drewnianą, ciemną, wchodziło się z lewej nawy po wytartych już schodach. Jej górną część pokrywała tkanina z wyhaftowanym cytatem biblijnym. Chyba takim: Kto z Boga jest, słów Bożych słucha. Albo podobnym. Przemawiali z tej ambony przeważnie miejscowi księża. Najlepiej treściowo ks. Witkowski. Ale podczas wygłaszania kazania miał dziwny zwyczaj trzymać stale zamknięte oczy. Czasem nużył u niego brak modulacji głosu. Wierni najchętniej słuchali ks. Kaczarowskiego, wikarego, mówiącego ciekawie i z werwą, ale on wnet po 1930 r. został przeniesiony do Monasterzysk. Przystojnego, towarzyskiego, szpakowatego bruneta zastąpił ks. Tadeusz Małski, łysy, tęgi, już nie młody wikary i katecheta. Uczył religii w miejscowej szkole powszechnej i kilku okolicznych wsiach. Nie posiadał daru przemawiania i może dlatego, że wiedział o tym, mówił krótko, nie nudząc słuchaczy. Być może tusza sprawiała mu trudność przy wchodzeniu na ambonę, bo czasem przemawiał od ołtarza, co w tych latach nie było praktykowane, opierając się tyłem o mensę. Inną jego niezwykłością było posiadanie sutanny podbitej futrem. Występował w niej



Tłumacz. Ołtarz główny w Kościele

niekiedy na ulicach, w chłodne dni, nie ubierając, oczywiście, wierzchniego okrycia.

Na jakieś dwa lata przed wybuchem II wojny światowej, po odejściu ks. Małskiego do innej parafii, jego obowiązki przejął ks. Tadeusz Rojek, niedawno wyświęcony. Stanowił fizyczne przeciwieństwo swego poprzednika. Szczupły, drobny brunet. Kaznodzieją okazał się miernym.

Zwykle najdłużej przebywał na ambonie tłumackiego kościoła ks. Edward Tabaczkowski. Trudno przychodziło mu skończyć rozpoczęte przez siebie kazanie. W czasie jego trwania słuchaczom wydawało się nieraz, że dobiega ono końca, ale właśnie wtedy ks. proboszcz podejmował nowy, zwykle nie powiązany z poprzednim wątek. Prawie zawsze trudno byłoby określić temat kazania. Uszczypliwi parafianie utrzymywali, że ich proboszcz mówi, co mu ślina na język przyniesie. Prawdopodobnie liczne, niekoniecznie kościelne zajęcia utrudniały księdzu przygotowanie się do wystąpienia na ambonie i dlatego jego kazania były takie długie i marnie. Do niechętnego słuchania ich przyczyniała się zła wymowa ks. Tabaczkowskiego, jakby coś trzymał w ustach i słaba dykcja. Jeszcze jednym utrudnieniem dla słuchaczy były archaizmy językowe przemawiającego. Używał np. końcówki – ie tam, gdzie występuje samo – i. Mawiał: drogie dziecko, zamiast dzieci; pójdziecie do spowiedzi i Komunii św., zamiast: do spowiedzi i Komunii św. Ale raz zdarzył się wyjątek. Ks. Tabaczkowski w jakimś święto powiedział bardzo dobre kazanie, nie trwające zbyt długo. Obecni w kościele zostali całkowicie, ale przyjemnie zaskoczeni. Komentowali ten nieoczekiwany ewenement: Gdyby ks. kanonik zawsze przygotowywał się do kazań tak, jak dzisiaj, słuchałoby się go z dużym zadowoleniem.

Lewą nawę tłumackiego kościoła od nawy głównej oddzielały dwa graniaste filary. Przy pierwszym z nich od strony wejścia znajdowała się skromna mensa ołtarzowa, a nad nią dwa obrazy. Większy, przedstawiający św. Rocha,

był przybity do muru, a mniejszy wsparty na mienście, ukośnie opierał się o niego. Przy drugim filarze stał, wzorowany na gotyckich, ciemno brązowy ołtarzyk, miejscami złocony, z niezłym obrazem Matki Bożej Nieustającej Pomocy, otoczonym ażurowaną dekoracją sporządzoną z pozłacanego drewna. Pod nim stał na mienście oszklony oleodruk przedstawiający św. Teresę od Dzieciątka Jezus, której kult w owych latach był szczególnie żywy.

Na ścianie zamykającej tę nawę widniał udany ołtarz okazałych rozmiarów, ozdobiony kolumnami, drewniany, jak zresztą wszystkie w kościele, ciemno-brązowy. W jego wgłębieniu znajdowała się na pokrytym złoconym ornamentem tle płaskorzeźba Pana Jezusa w cierniowej koronie, dźwigającego krzyż. I ona była też całkowicie pozłocona. Wnękę z płaskorzeźbą chroniła tafla szklana. Jakby na piętrze tego dwupoziomego ołtarza widniał między kolumnami okrągły obraz, ale kogo przedstawiał, już nie pamiętam.

Wystrój prawej nawy kościelnej przedstawiał się podobnie jak lewej. Przy pierwszym filarze, nad mensą, dwa obrazy, przy drugim mały ołtarz analogiczny do ołtarza M. B. Nieustającej Pomocy, a w nim dobry obraz Serca P. Jezusa. Wyszedł on spod pędzla znanego lwowskiego malarza, Stanisława Batowskiego. Artysta ukazał P. Jezusa na tle pokrytym złoconym ornamentem. Na mienście stał oleodruk ze św. Józefem, ale być może mylę się. Przy tym ołtarzu odprawiała się Msza św. w I piątki miesiąca oraz nabożeństwa czerwcowe.

Trzeci ołtarz prawej nawy znajdował się w tym miejscu, co w nawie lewej i stanowił jego replikę. Obrazy oczywiście były inne. M. B. Częstochowskiej wykonano tą samą techniką co P. Jezusa niosącego krzyż. Na pozłacanym tle całkowicie też złoconą płaskorzeźbą ozdobiły barwne kamienie i perły imitujące szlachetne. I znowu ochronne szkło. W górze okrągły obraz św. Antoniego z Padwy.

W każdą sobotę o 7.15 g. gromadziła się przed tym ołtarzem młodzież gimnazjalna na Mszę św. odprawianą przez ks. Witkowskiego. Śpiewano wtedy Godzinki. W miesiącu maju tu odbywały się nabożeństwa maryjne, a w W. Piątek i Sobotę zamieniano ołtarz na Boży Grób. Podczas gdy w Wielki Czwartek ołtarz P. Jezusa w lewej nawie stanowił tzw. Ciemnicę, którą zdobiono corocznie wazonikami z kwitnącymi żółto-brązowo lakami.

Elektryczne oświetlenie obydwóch bocznych naw przedstawiało się skromnie. Wzdłuż ich ścian stały długie ławy z oparciem.

Prezbiterium kościoła od nawy głównej odgradzały cztery jasne kłęczniki drewniane, po dwa z obydwóch stron, z przejściem w środku. Zastępowały one i przypominały balaški. Apsyda prezbiterium była półokrągła, a w jej środku stał główny ołtarz. Centralne jego miejsce zajmował duży obraz św. Anny, typu Samotrzeć. Na srebrzystym tle Św. Anna i Matka Boża trzymały pomiędzy sobą Dziecię Jezus. Postacie pokrywały drewniane, złoczone sukienki. Widoczne spod nich części ciała malował również Batowski. Na obraz ten, poza czasem nabożeństw, nasuwano inny, olejny, ze sceną Ukrzyżowania. Nad obrazem św. Anny tak jak w dwóch bocznych ołtarzach, znajdował się mniejszy, okrągły, a po obydwóch stronach głównego obrazu stały figury św. św. Apostołów Piotra i Pawła. Cały ołtarz miał barwę popielato-zielonkawą. Warto dodać, że wszystkie trzy ołtarze zostały wykonane w jednym stylu, ze smakiem artystycznym.

Światło dzienne do prezbiterium wpływało przez dwa witraże. W lewym oświetlało ono św. Marię Małgorzatę i

objawiającego się jej P. Jezusa. Prawy witraż nie posiadał tak dużej, jednolitej kompozycji figuralnej. Przy bocznych ścianach prezbiterium stały dwie dwurzędowe ławki. Mogli w nich usiąść wszyscy, ale przeważnie czynili to okoliczni obywatele ziemscy o ile, spóźniwszy się na niedzielną Mszę św., nie stali w zakrystii lub przy drzwiach wiodących z niej do prezbiterium. Dodam, że tłumackie ziemiaństwo nie stroniło od praktyk religijnych i w niedziele i święta zjeżdżało swoimi pojazdami do kościoła parafialnego. Ono też ufundowało największy dzwon do niego, św. Andrzeja Boboli, na którym umieściło swoje nazwiska w 1930 r. Oto niektóre z nich: Jałowiccy z Chocimierza, księżna Puzynina – Czarnołożce, Ziolocecy – Hryniowce, Ściborowie, Rylscy – Kolińce, księżna Sapieżyna – Olszanica, hr. Potuliccy – Ostrynia, hr. Dzieduszycka i Eleonora Doschot-Posseltowa – Pałahicze, Horodyńska – Przybyłów.

Do prezbiterium przylegały z obydwóch stron pomieszczenia. Jedno z nich było przeznaczone na zakrystię, a drugie na skład kościelnych utensyliów, nad którymi czuwał kościelny. W latach trzydziestych wspomniane pomieszczenia dwa lub trzy razy zamieniały się swoimi funkcjami. Bezpośrednie wejście z zewnątrz prowadziło tylko do tego z prawej strony. A nad drzwiami z prezbiterium do obydwóch wmurowano czarne, marmurowe tablice pamiątkowe Dolajsa-ojca i Dolajsa-syna, który zginął na froncie podczas wojny bolszewicko-polskiej. Na tablicach, oprócz tekstu, znajdowały się podobizny zmarłych. Ściany i sklepienia kościoła pokrywała ciemna ze starości i podniszczona polichromia. Na sklepieniu prezbiterium ukazywała ona skrzydlatych aniołów do połowy ich postaci, na ścianie lewej nawy św. Ferdynarda w koronie. Przydałaby się była tej malaturze renowacja, ale nigdy do niej nie doszło przed wojną.

Lewa nawa, z której księża wchodzili na ambonę przypominała mi jeszcze, że najlepiej podane z niej słowo Boże padało podczas Misji urządzonej w połowie lat trzydziestych. Prowadziło ją dwóch młodych jeszcze Oblatów, bodajże z Kodnia. Jeden posiadał niemieckie nazwisko, a drugi, młodszy, nazywał się Wiśniewski. Ich nauki przyciągnęły chyba wszystkich Polaków z miasta i przedmieść. Kościół rano i wieczór był przepełniony do tego stopnia, że jeżeli ktoś nie przybył do niego znacznie wcześniej niż rozpoczynały się nauki, nie mógł w ogóle wejść do wnętrza. I nam się to przytrafiło. Ledwie wepchaliśmy się do zakrystii i tam, przy otwartych do kościoła drzwiach, słuchaliśmy kazania. Usłyszane nauki omawiano w domach, szkołach i zakładach pracy. Odjeżdżających po spełnieniu swego zadania misjonarzy procesjonalnie odprowadzono po rannej Mszy św. na dworzec kolejowy i ze łzami żegnano.

Corocznie odbywały się w kościele w okresie Wielkiego Postu rekolekcje. Nauki wygłaszał zaproszony ksiądz świecki lub zakonny. Kilkakrotnie ks. proboszcz z pobliskich Jezierzan, Wróbel, niezły mówca. Z okazji niecodziennych pojawiali się na ambonie i poza rekolekcjami obcy kapłani. Pamiętam np. księdza obrządku ormiańsko-katolickiego, Manugiewiczza, proboszcza z Łyśca pod Stanisławowem.

Powracam do opisu architektury kościoła. Na zewnętrznej ścianie apsydy umieszczono dużą, jakby z terakoty, plaketę Pana Jezusa w cierniowej koronie, a pod nią latarnię z kolorowymi szybami. Ale rzadko ona świeciła.

Nigdy nie widziałem odpustu w kościele parafialnym, odbywającego się zawsze w dniu 26 lipca, uroczystość św. Anny. Wyjeżdżałem wtedy z Tłumacza na wakacje. Ale oglądałem Wielkanoc, Zielone Święta, Boże Ciało, Boże

Narodzenie. Ks. Tabaczkowski dbał o to, aby w te święta kościół odpowiednio ozdobić. Może najokazalej wyglądał on w Boże Narodzenie i Zielone Świąta, kiedy to wnętrze kościelne zamieniało się jakby w las świerkowy lub brzozowy. W Boże Ciało procesja wychodziła z kościoła do czterech ołtarzy rozmieszczonych w różnych częściach miasta, podczas oktawy święta rano i wieczór obchodziła kościół, w dniu zakończenia oktawy zatrzymywała się znowu przy czterech ołtarzach, ale tym razem ustawionych nieodległe od kościoła.

Ale szczyt swoich dekoracji osiągnął kościół podczas biskupiej wizytacji kanonicznej w jesieni 1937 r. Miała ona miejsce wkrótce po koronacji obrazu M. B. Łaskawej w Stanisławowie. Ks. Tabaczkowski wypożyczył z tamtejszego kościoła ormiańskiego chorągwie, transparenty, sztandary i całe mnóstwo elementów zdobniczych. Od strony Stanisławowa, od początku ulicy Słowackiego na każdym słupie wisały długie aż do ziemi biało-żółte, biało-czerwone i biało-niebieskie płótna. Na wbitych palach widniały różne emblematy i symbole religijne, wieńce uwite z zieleni odgradzały chodniki od jezdnii. Ta dekoracja od ulicy, którą przyjechał biskup sufragan lwowski, Eugeniusz Baziak, ciągnęła się aż do kościoła, a wszedłszy do jego wnętrza zajęła wszystkie odpowiednie dla siebie miejsca.

Po opisie kościoła chcę zajrzeć na plebanię stanowiącą z nim pewną całość.

Przedstawiała się ona skromnie. Jednopiętrowy, nieduży budynek. Zdaje się, że przed nim na tym miejscu znajdował się parterowy dom z drewnianym gankiem wejściowym. Na plebanii, oprócz księdza proboszcza, kanonika Edwarda Tabaczkowskiego i aktualnego wikariusza, mieszkali krewni

proboszcza. P. Dunicz, starszy, siwy pan, ubierający się zawsze na czarno, sympatyczny i grzeczny, który prowadził kolportaż prasy katolickiej, przeważnie Przewodnika katolickiego i pomagał w kancelarii parafialnej. Jego starszy syn studiował medycynę we Lwowie, a młodszy, Mieczysław, był moim starszym kolegą gimnazjalnym. Oprócz Duniczów zajmowały pokój na plebanii jakieś panie, też związane pokrewieństwem z ks. proboszczem, z których jedna, Demerówna, chodziła jeszcze do Seminarium Nauczycielskiego.

Ja sam na plebanii bywałem przeważnie u p. Dunicza po odbiór Przewodnika. Podobnie jak zewnątrz i wewnątrz przedstawiało się niemal ubogo. Jadalnia na parterze z oknami wychodzącymi na kościół poza starym, podniszczonym kredensem dębowym i zdekompletowanymi krzesłami, nie posiadała innych mebli. Mieszkanie ks. Tabaczkowskiego znajdowało się na piętrze po stronie wschodniej od korytarza przebiegającego przez cały budynek, mieszkanie ks. wikarego po stronie zachodniej, z widokiem na kościół. Za plebanią rozciągał się obszerny ogród warzywno-owocowy ogrodzony drewnianym płotem.

Zatrzymałem się dłużej przy opisie obejścia kościelnego, ale tam znajdowało się żywotne centrum miasta, a sam kościół był najokazalszym w nim budynkiem. Patrząc nań ostatni raz, dodam, że na placu przed nim, przy wieżach, na dwóch okrągłych kamiennych słupach stały figury p. Jezusa i Matki Bożej. Dawniej ich miejsce znajdowało się wewnątrz kościoła, przed prezbiterium, po obydwóch jego stronach, a obok dwóch bocznych ołtarzy. Na starych tłumackich zdjęciach widać jeszcze za ogrodzeniem placu przykościelnego, po północnej stronie ceglana, mała dzwonnica. Podczas mojego pobytu w Tłumaczu już jej nie było. □

Wiadomości z życia tłumaczan

Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.)

Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995

Janina Petrus-Duszyńska

15-20 września 1989 roku
Otmuchów

Tak jak postanowiono przed rokiem, na kolejnym zjeździe spotkaliśmy się w pobliżu Nysy w woj. Opolskim, nad Jeziorem Otmuchowskim. Zjazd trwał sześć dni i zgromadził ponad 100 osób (zawiadomiono 280), wśród których była spora grupa z okolic Nysy, tu bowiem po wojnie osiedliło się wielu Tłumaczan. Na zjazd do Otmuchowa z Włoch przyjechał Julian Kaczorowski z żoną Włoszką, oraz z Jugosławii Józia Gliśović z domu Lanerówna, która przyjeżdża zresztą prawie na każdy zjazd.

Czas trwania zjazdu, liczba osób oraz bogaty program świadczą wymownie o tym, ile wysiłku i trudu w jego przygotowanie i przeprowadzenie włożyli organizatorzy – koledzy Czesia Koczwarę-Kałużę i Jan Johnson.

Pierwszy dzień otmuchowskiego spotkania przyniósł naszej tłumackiej zbiorowości największe wydarzenie pierwszego pięćdziesięciolecia po wojnie. Na powitalnym zebraniu kol. Zbigniew Bojczuk powiadomił nas, że grupa inicjatywna środowiska wrocławskiego zarejestrowana nas jako



Polowa msza św., odprawia ks. Leszek Duplewicz, do mszy służy Zygmunt Guszpit

„Klub Tłumacz” przy Towarzystwie Miłośników Lwowa we Wrocławiu. W związku z tym wybrano pierwszy „Zarząd” Klubu w składzie:

- Zbigniew Bojczuk – przewodniczący
- Danuta Tabińska-Juhasz – pierwszy zastępca
- Zygmunt Guszpit – drugi zastępca
- Michał Dasiewicz – skarbnik
- Anna Panachida-Bocheńska – zastępca skarbnika
- Zofia Grabowiecka-Dąbrowska – sekretarz
- Krystyna Gaździcka – zastępca sekretarza

Wybrano też Komisję Rewizyjną:

Władysław Geruła – przewodniczący
oraz członkowie:

Krystyna Ossowska-Korta,

Mirostawa Tabińska-Galant, zm. 5.06.98,

Helena Bilińska.

Wybrany Zarząd zobowiązano do zrealizowania na początek trzech długofalowych zadań, którymi były:

– ufundowanie epitafium – tablicy pamiątkowej ks. Edwardowi Tabaczkowskiemu, proboszczowi wielce zasłużonemu dla naszego miasta;

– przeprowadzenie renowacji obrazu Św. Anny Samotrzeciej z głównego ołtarza naszego nieistniejącego już kościoła w Tłumaczu, a obecnie znajdującego się we wsi Siedlakowice k/Wrocławia;

– wydanie monografii Tłumacza z zebranych materiałów dr. Michała Nikosiewicza.

Uchwalono w związku z tym przeprowadzenie zbiórki dobrowolnych datków na wykonanie pierwszych dwóch zamierzeń. Dalej podjęto decyzję, aby następne spotkania miały formę dwutygodniowych wczasów. Uczestnicy zaproponowali ponadto rozpatrzenie możliwości zorganizowania wycieczki do Tłumacza, a wykonania tego zadania podjęli się Czesia Koczwara i Jan Johnson.

Na koniec tego spotkania odbyło się wręczenie przez Zarząd legitymacji członkom nowo powstałego „Klubu Tłumacza”. Legitymację z numerem pierwszym otrzymał kol. dr Michał Nikosiewicz, któremu zebrani zgotowali wielką owację, wyrażając w ten sposób wdzięczność za wszystko, co zrobił dla utworzenia naszego Klubu.

Następnie wysłuchano dr. Romualda Tuzinkiewicza, który oświadczył, że jest zezwolenie władz kościelnych na wmurowanie tablicy w Kościele Św. Doroty i Św. Stanisława we Wrocławiu. Zatwierdzono także przedstawiony projekt tablicy i treść epitafium.

W sprawie dotyczącej gromadzenia materiałów do monografii o Tłumaczu przeprowadzono kilka spotkań, na których Zosia Grabowiecka-Dąbrowska czytała opracowania dotyczące międzywojennego dwudziestolecia. Uczestnicy, żywo dyskutując, wnosili uwagi oraz podawali nowe, nieznanne fakty.

Wkładem do tego przedsięwzięcia było również spotkanie abiturientek Państwowego Koedukacyjnego Liceum w Tłumaczu, które 50 lat temu zdały maturę. Ich losy to typowy przykład tragedii całego pokolenia Polaków. W maju 1939 roku zdały maturę 33 osoby, z których na spotkanie w Otmuchowie przybyło 9.

Wiele dodatkowych informacji do przyszłej monografii dostarczył album jubileuszowy opracowany przez organizatorów zjazdu, a wydany z okazji 775-lecia Miasta Tłumacza (1213-1988). W albumie zamieszczono zdjęcia sprzed 1939 roku oraz aktualne, wszystkie opatrzone notatkami mówiącymi o historii Tłumacza.

Mszę św. odprawiono w warunkach polowych. Celebrował ją tłumaczanin, ks. Leszek Dublewicz, któremu do mszy służył jego kolega ze szkolnej ławy, Zygmunt Guszpit, a oprócz kazania odczytano list ks. Romana Dacy, który nie mógł być z nami z powodu choroby. Oto niektóre jego słowa skierowane do nas:

„... Przesyłam Wam, kochani, serdeczne pozdrowienia, słowa miłych wspomnień, które zapadły w mojej pamięci i sercu bardzo głęboko. Przesyłam również wyrazy braterskiego przywiązania, oddania i stałej wiernej

miłości do Was i naszych stron rodzinnych i okolic znanych z dzieciństwa, miłości, którą także i Wy gorąco czujecie i jeszcze ciągle nią żyjecie, bo „mocna jest jak śmierć”, którą też, jak wiem, przekazujecie i uczycie swoje dzieci i wnuki! Ściskam Was wszystkich razem i każdego z osobna.”

Kazanie wygłoszone przez ks. Leszka było oparte na jego osobistych przeżyciach jako dziecka – osieroconego w czasie okupacji w Tłumaczu. Słów tych słuchaliśmy z wielkim wzruszeniem, gdyż przypomniały nam nasze, jakże biedne i zastraszone dzieciństwo. Mówiąc o tragicznych przeżyciach powiedział też jednak, że: „Byłby to obraz zbyt pesymistyczny i niepełny tego co przeżyłem, co widziałem i co wyniosłem z Tłumacza. To co zapamiętałem – to wielka życzliwość ludzi, którzy nawzajem sobie pomagali, współczuli, pocieszali się i to pozwoliło niejednemu przeżyć ciężką noc okupacji. Tłumacz cechował też wielki optymizm. W najtrudniejszych sytuacjach życia nie tracił ducha, nie tracił nadziei i wiary w szczęśliwe lepsze jutro.”

W czasie mszy św. modliliśmy się za wszystkich nieżyjących Tłumaczan, a szczególnie za tych, którzy odeszli w ostatnim okresie.

Obok tych ważnych, wzniosłych spraw, otmuchowski zjazd był przecież także okazją do przeprowadzenia wielu imprez kulturalnych, krajoznawczych i rozrywkowych. Jedną z nich była wycieczka do Nysy.

Ze wzruszeniem i nostalgią obejrzeliliśmy film nakręcony przez małżeństwo Danusię i Tedię Juhasz w czasie ich pobytu w Tłumaczu wiosną tego roku. W utrwalonych kamerą obrazach śledziliśmy trasę, która się przed nami rozwijała, w Tłumaczu zaś, szukaliśmy domów, w których kiedyś mieszkaliśmy, z mieszanymi uczuciami patrzyliśmy na nowe budynki, które powstały już w naszym mieście po wojnie.

Dla wielu uczestników zjazdu atrakcyjna była przejażdżka po Jeziorze Otmuchowskim, które stanowiło również raj dla naszych amatorów wędkarstwa. Połowy były udane!

Każdego dnia o godz. 17 odbywały się wieczorki taneczne przy orkiestrze, które cieszyły się zawsze dużą frekwencją. Bawiono się wspólnie nucąc często refren aktualnej dziś dla nas piosenki:

*„A renciści żyją,
Chude mleko piją
W niebo spoglądają
Na rentę czekają...”*

Wieczorami, gdy zapadał zmrok, spotykano się oczywiście przy ognisku, gdzie pieczono kiełbaski, śpiewano nasze tłumackie szlagiery i recytowano własne wiersze. Śpiewającym akompaniowali na akordeonie Jan Johnson i Maria Laner-Adamczyk, a śpiewano m.in. „Tłumackiego walczyka”, do którego słowa i muzykę napisał organizator spotkania Jan Johnson. Oto jego treść:

*Niech nam żyje nasza wiara
Nasz tłumacki bratni krąg
Niech młodnieje przyjaźń stara
W sercach i w uściskach rąk.*

Wszystko, co przeżyliśmy w Otmuchowie zostało utrwalone na taśmie filmowej, kamerę niestrudzenie obsługiwał mąż Danusi, „zatłumaczony” Tedi Juhasz.

Opuszczaliśmy gościnny Otmuchów żegnani lwowskimi piosenkami płynącymi z głośnika nadawanymi przez kierownika ośrodka – lwowianina.

(c.d.n.)

Listy

Sanok 25.III.1999 r.

Szanowna Redakcja Kochani Tłumaczanie

Serdecznie dziękuję za przysłane mi Zeszyty Tłumackie. Nadal uprzejmie proszę o każdy numer, który się ukáže.

Niewiele miast może poszczycić się takimi rodzinnymi więzami jak Tłumaczanie.

Ja zapoznając z treścią Z.T. i wspomnieniami mojego Męża oraz Teścia (Emila Piotrowskiego – przyp. red.), swoje dzieci, a teraz wnuki. Pragnę aby ta nić ciągnęła się długo, aby Tłumacz żył w następnych pokoleniach.

Piotrowscy datęgo zatrzymali się w Sanoku, bo nasz parafialny Kościół jest zupełnie podobny do – niestety – zniszczonego Kościoła w Tłumaczu. Te dwie wieże i konstrukcja przyciągnęły Ich do Sanoka. Mnie, patrząc na odbitki w Z.T. wydaje się, że wieże tamtego kościoła były troszeczkę smuklejsze, poza tym jest duże podobieństwo.

Pozdrawiam Szanowną Redakcję i Wszystkich Tłumaczan. Jestem z wielkim uznaniem dla Państwa niełatwej pracy.

Do zobaczenia być może na zjeździe.

Stefania Piotrowska

Przedstawiamy poniżej wyjątek z listu p. Andrzeja Wiszniewskiego z Horyhład koło Tłumacza. Cieszymy się, że dzięki naszemu czasopiśmie po 50-ciu latach ludzie odnajdują wiadomości o wojennych losach swoich najbliższych.

Redakcja

Zabrze 20.V.1999

Szanowna Redakcja Zeszytów Tłumackich

ul. Ruska 32/33
50-079 Wrocław

Wyjaśniam, że jestem z Horyhład, gdzie we wrześniu 1939 zaarrestowano mego ojca Ludwika przewożąc go najpierw do więzienia w Tłumaczu, gdzie umieszczono razem wszystkich ziemian z powiatu tłumackiego, w tym też i pana Andrzeja Jakubowicza, a następnie do innych kolejnych więzień, aż w końcu do Mikołajewska skąd wyprowadzono Go wiosną 1940 z celi razem z panem Wojciechem Komornickim z Bukówny i dalej nic nie wiadomo.

Otóż ten właśnie pamiętnik Jakubowicza opisuje losy mego ojca i dlatego brat mój mieszkający stale w Kanadzie prosił mnie bym Mu umożliwił przeczytanie tego pamiętnika, o którym się dowiedział z przesłanych Mu przeze mnie Zeszytów Tłumackich.

Po takim wyjaśnieniu proszę ponownie o wykonanie i przesłanie mi 1 odbitki ksero tego pamiętnika bym mógł ją przesłać Bratu.

Z poważaniem

Andrzej Wiszniewski
ul. Bracka 2
41-800 Zabrze

Lista ofiarodawców za II kw 1999 r.

Tuzinkiewicz Romuald, Wrocław	16 zł
Piotrowska Stefania, Sanok	34 zł
Mierzwiński Stanisław, Gliwice	100 zł
Stimm Jan, Francja	16 zł
Przybyło Bogumił, Kraków	20 zł
Storożenko Jadwiga, Katowice	8 zł
Kłonowski Zdzisław, Gryfino	6 zł
Korcowska Anna, Gliwice	48 zł

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Errata do nr. 1 (13) 99

- str.11 – pod fotografią jest Storaż, ma być Storoż
- wiersz 5 od góry – jest Storaż, ma być Storoż
- str. 29 Lista ofiarodawców
- poz. 8 jest Reżek, ma być Reich
- poz. 9 jest Szymutowicz, ma być Szymułowicz
- poz. 21 jest Jonson, ma być Johnson

Komunikat

Informujemy zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, że doroczne spotkanie tłumaczan w Kołobrzegu odbędzie się w dniach 1-14 września br.

Obecny właściciel ośrodka wymaga rezerwowania miejsc. W związku z tym prosimy o odwrotne nadesłanie zgłoszenia (na adres Zarządu) potwierdzającego pobyt z zaznaczeniem domek czy barakowóz.

Informujemy, że nienadesłanie rezerwacji może spowodować odmowę zakwaterowania. Koszt pobytu za 1 dobę wynosi 18 zł w domku, w bakakowozie 12 zł bez wyżywienia. Koszt wyżywienia prawdopodobnie nie będzie znacząco odbiegał od zeszłorocznego.

Do zobaczenia w Kołobrzegu.

Zarząd

PRZEWODNIK AUTOMOBILOWY PO POLSCE

Automobilklub Polski,
Warszawa, 1930 rok.

Cała mapa Polski tego przewodnika była przedstawiona w ostatnim ZT na tylnej okładce.

Nasz apel (str. 29) o nadesłanie szczegółowych mapek Nr 20 i 21 obrazujących przejazd przez nasze tereny, został uwieńczony sukcesem.

Nadesłały je aż dwie osoby: p. Janina Kochańska-Reich i p. Tadeusz Pelikan – bardzo Im dziękujemy.

Obie mapki prezentujemy obok. Z treścią zaś przewodnika można zapoznać się na stronie 17 niniejszego ZT.

Życzymy przyjemnej podróży palcem po mapkach naszych dróg z lat trzydziestych w zaraniu motoryzacji!

Redakcja

